Nr. 9. Lwów we wrześniu 1897. Rok XX.



Prenumerata roczna:
5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

JELEŃ.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

V.

(Tropoznawstwo. — Jeleń w rewirach ogrodzonych. — Rasy jeleni. — Waga ciała. — Przyczyny zwyrodnienia. — Odświeżanie krwi. — Odmiany egzotyczne Wapiti Mauma-Axis. — Krzyżowania. — Niepowodzenia w rewirach jelenich).

Łowy jelenie doszły na zachodzie do szczególniejszej doskonałości w technicznem wykonaniu; był to od wieków zwierz, na którego najbaczniejszą zwracano uwagę, otaczając go troskliwą opieką. Wszystko to wymagało specyalnie wykształconej służby, osobnego można powiedzieć cechu, aby mogły być zaspokojone wybredne wymagania możnych właścicieli. Do prawdziwego artyzmu doszły sposoby wykonywania wszystkiego, co zapewniało pomyślny rezultat łowów, a mianowicie śledzenie i podsłuchy jeleni. Wytworzyła się z czasem przechodząca z ojca na syna kasta i nader bogata specyalna gwara „der hirschgerechten Jäger", jakiej żadne inne łowiectwo nie posiadało w tej mierze. Długie lata wysługiwał się młodzieniec, zanim doszedł do niezbędnej biegłości w tropieniu jeleni, a gdy się czyta o tych drobiazgach, na jakie przy tropieniu zwracano uwagę i do rzędu ważnych podnoszono reguł, to niedziw, że takie wykształcenie długiego wymagało czasu. Trzeba było poznać i zapamiętać 72 różnych wskazówek na tropach, aby się niestać pośmiewiskiem doświadczonych i dokumentnie określić z tropów płeć, wielkość i stan krasności jelenia. Jak wiele reguł rutyny, w którą się wykoszlawia doświadczenie tak i tutaj wiele z pośród tych 72 znaków było

przesadnym balastem pamięciowym, który późniejsza praktyka powoli usuwała. Wcale niepobieżny Dietrich v. d. Winckell uważa 27 znaków jako wystarczające. Wielki znawca naszych już czasów R. v. Dąbrowski ogranicza je do 25, a najnowsi mówią już tylko o 12, po których wszystko na tropie wyczytać można. Przedmiot to zanadto ciekawy i, o ile mi wiadomo, w naszej specyalnej literaturze, wcale niedotykany, dlatego nie chcę go pominąć milczeniem, tem bardziej, że są to owoce doświadczenia długich wieków, żmudnie nabyta wiedza przyrodnicza, dająca się zastosować również i do tropoznawstwa innego zwierza, gdyż mechaniczne prawidła poruszania się zwierząt są w zasadzie te same. Nie mogąc jednak rozszerzać mej pracy chyba tłumaczeniem szerokich w tym przedmiocie traktatów, odsyłam ciekawego czytelnika do byle jakiego dzieła niemieckiego, a przedewszystkiem zwracam uwagę na dotyczące ustępy najnowszej literatury specyalnej (Grachey-Praktisches Handbuch für Jäger 1894 München S. 7, 89; Alers. der Wildwechsel. Leipzig 14, 15, 16, 17; Dąbrowski: Das Edelwild).

Wskazówki tropoznawcze powinny znaleźć nieco szersze uwzględnienie w karpackich łowach jelenich, jeśli łowy te mają nosić istotnie charakter poważny, odpowiedni godności tej zwierzyny. „To już nie jest ów szarak ladaco“, to jeleń, to klejnot naszej górskiej krainy, z których już tak niewiele pozostało. Niechaj w te urocze przybytki nie prowadzi przypadek, wiedzmy, co mamy — czego nam braknie i czego się spodziewać możemy; tropoznawstwo prowadzi najpewniej do wytworzenia sobie najprawdziwszego obrazu etatu i stosunku płciowego i wiekowego zwierzyny, a obraz ten jest niezbędnym do wykonywania łowiectwa w sposób racyonalny. Nie zapominajmy, że jeleń karpacki wśród wolnej kniei jest monopolem, tam jeszcze mu nie za ciasno wśród ogromnych obszarów leśnych i wśród zupełnie odmiennych stosunków kulturnych — po za tem w czasach naszych nie da się już pomyśleć w wielu rewirach nieobwarowanych bez wielkich oflar i przykrości dla właściciela, co najmniej zatem może się zaliczyć do zwierzostanów ekonomicznej doniosłości. Gdyby się ktoś pokusił w naszych czasach o takie amatorstwo, to szlachetna pasya wnetby oziębła pod ciężarem pretensyj, już nie wchodzę w to, sprawiedliwych, czy też tylko na zyski obliczonych pretensyj, których rozsądzenie do nader trudnych zadań należy.

Przykłady z zachodu nie mogą nikogo zachęcić do starań celem zaprowadzenia i rozmnożenia jeleni w kniejach otwartych, ztąd też omawianie najskuteczniejszych ku temu sposobów, zajmujące jeszcze do niedawna sporo miejsca w podręcznikach myśliwskich byłoby anachronizmem, co więcej praktyka ta, pociągnąwszy za sobą mnóstwo ofiar ze strony właściciela, a nie dając mu żadnej nagrody za podjęte usiłowania, podałaby skrajnym stronnictwom i wrogom myśliwstwa pochop do słusznej ingerencji i nowych reform ustawowych groźnych i innym zwierzostanom. Właściciel obszaru łowieckiego, chcąc płynąć pod prąd, stałby się największym wrogiem myśliwstwa, przyczyniając się pośrednio do drażnienia i tak już bardzo uprzedzonych, gdzie tylko chodzi o sprawy łowiectwa.

Lepiej przeto, bo mądrzej,ześrodkować dobre chęci w innym kierunku i dążyć do celów, do których nie specyalne jakieś amatorstwo lub dyletantyzm, ale zawodowa wiedza i serce obywatelskie drogę wskazują.

Po za okolicami o wyjątkowych jeszcze stosunkach kulturnych miejsce dla jeleni jest tylko w ogrodzonych rewirach, że zaś nie lada komu wolno jest myśleć o takich urządzeniach, gdy jeleń potrzebuje także i nie małych obszarów, aby mu było dobrze i wygodnie, co znów ogromne koszta ogrodzenia za sobą pociąga, zwierzostany te pozostaną w przyszłości przywilejem właścicieli najmożniejszych, mogących i chcących ponieść takie ofiary.

Nieponętny to wprawdzie horoskop dla zwierzostanów jelenich, a osobliwie dla nas, zżytych z wolną knieją, z przypadkową jej romantyką łowiecką i zespalających zawsze ogrodzone rewiry ze wstrętnymi hekatombami, jakie tam od czasu do czasu mają miejsce na zachodzie. Ale to darmo — nie łudźmy się — coraz większe ograniczenia i najsłuszniejsze rygory, ustawione w imię obrony kultury krajowej w zmienionym socyalno-ekonomicznym stanie kraju prowadzą i łowiectwo do reform, stanowiących „conditio sine qua non“ jego istnienia, a wypaczona potworność praktyki w wykonywaniu łowiectwa w parkach, prowadzącą chyba do zdziczenia zmysłów, nie potrzeba nam naśladować, uważajmy to raczej za może niezbędny narkotyk, działający usypiająco przedrażnieniem na rozbujałą manię. Kurz takich łatwych mordów, nie walki, nudny zapach krwi, sprowadzą same przez się cudowną metamorfozę, o którą żadna na świecie krytyka pokusić się nie może.

Z wyjątkiem niewielkiej ilości parków, utrzymywanych więcej potęgą mody na dworach zamożniejszych dostojników, gdzie chodzi o tradycyjny splendor w innych tak już powszechnych na zachodzie rewirach ogrodzonych, zwierzostan jeleni, ani nie jest, aby być nie może tak licznym, aby sposobnym był do zbyt drapieżnych łowów. Nader wielkie do powierzchni rewiru nie zastosowane zwierzostany jeleni, mogą być podtrzymane do czasu sztuką, wielkim bardzo nakładem i tymi wyjątkowymi środkami, jakie tylko szczególnym i bardzo wyjątkowym posesyonatom stoją do dyspozycyi. Nie mówiąc tu o rzeczach mody, lecz jedynie o rewirach ogrodzonych, w których jeleń jako voluptoir właściciela na większych obszarach znaleźć się może i powinien, nadmienię, że jeżeli tylko utrzymanie takich zwierzostanów nie ma się stać zbyt wielkim ciężarem dla administracyi łowieckiej, etat jeleni musi być przedewszystkiem zastosowany do produkcyjnej możności siedliska, tak, aby zwierz przeważną część wyżywienia i innych warunków egzystencyi, znajdował w swem przyrodniczem otoczeniu. Różnorodność tych warunków naturalnych zakreśla nazbyt szerokie granice możności, tak, że tylko miejscowa praktyka oznaczyć może „certi denique fines“, a podania że starej już praktyki na zachodzie mogą tu służyć jedynie w celach oryentacyjnych. W podobnych do naszych pod względem przyrodniczym kniejach na zachodzie (w Austryi, w Czechach) utrzymują w ogrodzonych rewirach w przecięciu 1 sztukę jelenia stadnego na 25 h e k t a r ó w ogrodzonej powierzchni, biorąc za podstawę jedynie tylko przyrodnicze stosunki siedliska. Gdzie jednak stosunki dane zmieniono w sposób korzystny dla zwierzostanów jelenich uprawą ziemi wśród lasów i gdzie gnarowaniem chcą sztukować czasowe braki, tam naturalnie i zwierzostan może być stosunkowo zwiększony. W takim jednak razie zachodzi obawa dotkliwych szkód, wyrządzanych przez jelenie wśród samego siedliska. Cyfra, naprowadzona podyktowana praktyką, wprawdzie nie mówi jeszcze wiele, ale zawsze daje wyobrażenie, że zwierzostany jelenie, jakie ogrodzony rewir utrzymać może bez szkody dla zadrzewienia i bez wielkich ofiar właściciela, nie mogą stanowić przedmiot lekkomyślnych i na chybił trafił wykonywanych łowów. Przedmiot to nieliczny, drogi dla hodowcy, z którym się trzeba jak

z prawdziwą ozdobą kniei dobrze rachować, zanim się ułoży plan odstrzelenia tych egzemplarzy, które dla przyszłości zwierzostanu są albo zbędne, albo wprost szkodliwe.

Przy takich to urządzeniach, gdzie głównem staraniem jest o ile możności stworzenie warunków najkorzystniejszych, a leżących w możności produktywnej siedliska, unikając wszystkiego, co tylko organizm zwierzęcy wydelikaca i mniej odpornym uczynić może, czuwając wreszcie ustawicznie nad równowagą płciową i nad niezbędnem odświeżeniem krwi od czasu do czasu, można w istocie wytworzyć sobie acz niewielki, ale nader pocieszająco wyglądający zwierzostan jeleni.

Parki jelenie w siedliskach z natury ubogich, w których rozmnożono zwierzostan po nad ekonomiczną miarę możności nieszkodliwej, pomimo nawet starań w gnarowaniu sztucznem, wszechstronnie nader opłakany przedstawiają widok. Zwierzostan coraz bardziej się wyradza i karłowacieje, a drzewostany siedliska cierpią do tego stopnia, że literalnie na wielkich bardzo powierzchniach nie można odszukać jednego drzewka, na którem by nie było śladów jakiegoś uszkodzenia.

Daleki od roli bociana, nie chcę wymieniać tego rodzaju zwierzyńców, na dowód zaś, że może być także inaczej, posłużyć znów mogą bardzo liczne parki, w których oko specyalnego znawcy długo musi szukać ujemnych śladów pobytu jeleni na drzewostanach parku.

* * *

Na ziemiach środkowo-europejskich istnieje po dziś dzień tylko jeden gatunek jelenia, lecz gatunek ten w miarę odmiennych warunków siedliska wykazuje pewne mniejsze lub większe odmiany w postaci zewnętrznej, jak to najdobitniej demonstruje porównanie jelenia górskiego z jeleniem lasów błonnych. Słusznie zatem można tu mówić o odmianach lub o rasach posiadających dość stałe cechy rodowe. W miarę coraz to większego zacieśniania się siedlisk naturalnych i coraz to większego zaniepokojenia zwierza imigracya z jednych siedlisk do innych, zaciera coraz bardziej cechy ras lokalnych.

Częstokroć pod wpływem prześladowania, lub też zwichniętej równowagi płciowej, zwierz, zresztą przywiązany silnie do raz obranych ostoji, unosi się w strony dalekie i pozostaje tam na długo, czasem już na zawsze.

Pyszne połoniny naszych Karpat, żyzne porzecza Dunaju i jego południowych dorzeczy, niektóre połacie nad Bałtykiem n. p. knieje powiatu gąbińskiego w Prusach wschodnich, słynne knieje w Romintach, posiadają jeszcze zwierzostany największej odrębności rasowej, jelenie najpotężniejsze, jakie jeszcze spotkać można na ziemiach europejskich w stanie natury. Wytworzyły je niezaprzeczenie stosunki siedliskowe, a hojna ręka natury zaznaczyła się dobitnie w kształtach i wadze zwierza, a gdzie tylko dane warunki przyrody wsparte umiejętnie ręką hodowcy, tam urosły prawdziwe korony zwierzostanów jelenich, czego dorywczym przykładem są jelenie w lasach koło Gödöllö i w kniejach śp. arcyksięcia Albrechta w Bellye.

Jakimże karlikiem wobec tych kolosów jest jeleń, zamieszkujący wysokie pasma niektórych okolic alpejskich, lub mniej żyzne Góry Olbrzymie? Nie dziw przeto, gdy waga ciała, jaką oznaczają w rozmaitych okolicach łownego jelenia obraca się w bardzo szerokich granicach, bo od 100—250 klg. Książę Windischgrätz ubił w 1884 w państwie Bellye na bekowisku kolosa o 20 gałęziach, który pomimo ogromnego wychudzenia ważył 256 klg. Wieńce jego wagi 11·5 klg. mierzyły w obwodzie tuż po nad oczną galeryą 22 cm., a długość wynosiła 120 cm. Jestto w całym tego słowa znaczeniu przykładowy okaz tej pięknej rasy jeleni, zamieszkującej żyzne knieje państwa Bellye. W ogólności rogacze odznaczają się tam wielkością i wagą wieńców, waga stadnych zwierząt dochodzi w regule do 250 klg., wysokość 140—180 cm., szerokość racic 8—11 cm. (Zur Fauna von Bellye und Darda prof. dr. Mojsesowicz).

To, co wytworzyła sama przyroda wsparta opieką i rozumnymi środkami czysto ludzkimi, nie da się osiągnąć choćby jakimi środkami czysto ludzkimi, a przy najtroskliwszej opiece, lecz w braku szczególnie sprzyjających stosunków siedliska, uważają już 150 klg. jako krańcową granicę wagi ciała. Takiego zdania jest A. B. Mayer w swym wspaniałem dziele „Die Prachtgeweihe der Moritzburg“, mając na oku zapewne prowincyonalny zwierzostan w państwie niemieckiem. Gdy mi się przesuną w pamięci olbrzymie postaci rogali, jakie niegdyś miałem sposobność oglądać w pół dziewiczych kniejach górskich Bukowiny, to wrażenie istnych pygmeów wywołują jelenie nietylko we wielu parkach, ale i wśród wolnej natury okolic mniej uposażonych, gdzie oprócz niekorzystnych wpływów przyrodniczych również i niewłaściwe postępowanie w gospodarstwie człowieka, wycisnęło niezatarte, a ponure piętno. Jeleń w takich siedliskach nie jest królem, ale pod każdym względem upośledzonym jeńcem, a wrażenie takich umęczonych, anemicznych zwierzostanów chyba tylko uczucie litości wzbudzić jest w stanie. Jednym z ważnych powodów skarłowacenia i zwyrodnienia jest przepełnienie ponad ekonomiczną możność ogrodzonego siedliska, któremu dawana pomoc sztuczna, wyrządzając mu prawdziwie niedźwiedzią przysługę jeszcze w raźniejszem tempie posuwa je ku zupełnej ruinie. Rozcackany i rozpieszczony wygodami i podawaniem najrozmaitszych przysmaków zwierz, traci wreszcie zupełnie odporność, a w dodatku staje się jeszcze pastwą mnóstwa zaraźliwych lub pasożytniczych chorób. To też nader smutną nutą brzmią relacye z dziejów jelenia naszych czasów, więzionego w ogrodzonych rewirach.

Oprócz szkodliwej częstokroć dyetetyki, na jaką zwierz jest skazany w przepełnionych siedliskach, dopomagają degeneracyi jeszcze i inne fizyologiczne czynniki, doprowadzając te zwierzostany do stanu rozpaczliwego. Przedewszystkiem po nieobliczonych stratach praktyka na zachodzie doszła do przekonania, że zwierzostan jeleni nie da się utrzymać w pocieszającym stanie, jeżeli od czasu do czasu nie zapłynie tam krew świeża zwierząt, nie pozostających z istniejącym zwierzostanem w jakimkolwiek stopniu pokrewieństwa. Po takiem odkryciu piękne, nienagannych kształtów jelenie, stały się bardzo cennym towarem, niemniej zawitały do starej Europy w celach regeneracyi zwierzostanów jelenich, wspaniałe rogale odmian egzotycznych i rozpoczęło sie krzyżowanie odmian najrozmaitszych.

Dość zwykłym już po dziś dzień przybyszem stał się jeleń kanadyjski, mylnie w Europie Wapiti zwany, gdyż pod tą nazwą rozumieją Indyanie bawołu, a jeleń kanadyjski zwie się tam Elk lub Waskasew, zwykłej zaś Moose. Jeszcze w połowie naszego stulecia żyły ogromne stada kanadyjskich jeleni w ziemiach Shuswap Indyan, gdzie je wyniszczano masalnie, spędziwszy zwierza w opłoty (pounds), w których łatwo dał się ubijać dzidami. Wieńce ubitych jeleni składano na kupy, z których 2 istniały jeszcze w r. 1863 na półwyspie między odnogami jeziora Okanagan.

Wapiti (zatrzymuję tę nazwę, bo acz błędna, jest powszechnie znaną w Europie), jestto prawdziwy olbrzym,

największy i najokazalszy jeleń kuli ziemskiej. Co do kształtów zbliżony do jelenia naszego, różni się jednak nieco budową i brakiem tej gracyi i lekkości, jaka cechuje jelenia europejskiego. Wieńce dochodzą do 160 cm. długości, a 20 klg. wagi i są według tej samej architektoniki zbudowane, jednak wapiti nie wytwarza korony, natomiast z wiekiem gałęzie grubieją i spłaszczają się łopatowato Oko znawcy nie potrzebuje się zbytnio natężać, aby nieomylnie poznać wieńce tego Amerykanina i odróżnić je od wieńców naszych jeleni.

Pewną różnicę, oprócz cech już wspomnianych, występujących i tylko na wieńcach zwierząt starych, jest zewnętrzna powierzchnia, niemniej barwą wieńców. U wapiti przebiegają wzdłuż łodygi bardzo płytkie rowki, a operlenie jest nader słabe i niewyraźne, barwa zaś jest zawszejasna, żółtawa, co u naszych jeleni do rzadkich należy wyjątków. Szczególnie odmiennem jest zachowanie się wapiti podczas rykowiska. Jeleń ten właściwie nie ryczy, ale wydaje tony klarynetowe i urządza tym głosem całe koncerty, bo częstokroć kilka rogali razem przeciąga obok siebie „świstając“, jak mówią Amerykanie, swą pieśń godową. Świstające towarzystwo olbrzymich rogali również przy łaniach godzi się jakoś, ustępując swych praw nawzajem i nieokazując wcale zaciekłej wojowniczości jeleni naszych. Przed kilkudziesięciu laty wapiti był zwykłym mieszkańcem knieji nietylko w całych stanach, ale sięgał w terytoryach północnych po 57^0 sz. p. Niesłychane barbarzyństwo tamtejszych łowów i jakaś gorączka niszczenia, ogołociły jednak w krótkim czasie bezmierne obszary z tak wspaniałego zwierzęcia, gdzie stepy przeplatane zadrzewieniem były jego najulubieńszą ostoją. W chwili obecnej znajduje się on jeszcze w najbardziej od zgiełku kulturnego oddalonych okolicach gór skalistych w Rocky Mountains w Wyoming i u Montana (Gera Gf. Szechenyi: Der Wapili. Mittheilungen der n. östr. Jagdgesel. 1882 pag. 64), ale i w tych okolicach zacieśniają się w zastraszający sposób granice jego rozsiedlenia i nieochybnie zbliża się chwila, w której i ten zwierz szlachetny ustąpi z wielkiej ziemi Stanów zjednoczonych. — W ślad za krokiem drapieżnego Amerykanina posuwa się zgiełk poszukiwaczy bytu i chleba, a gdzie jeszcze niedawno rozbrzmiewał świst przeciągających jeleni po dziewiczych stepach i kniejach, tam już dzwoni żelazo Cerery, — Merkury hałaśliwy przepłasza dziatwę wolnej natury — świszcze ujarzmiona para, stękają machin potwory, wiercąc ziemi skorupę — a wszystko to razem wzięte pod hasłem „czas, to pieniądz“, sprowadza raptowne zmiany, na jakie całe tysiąclecia składały się w starej Europie. W miarę jak się zatraca wapiti w swej zamorskiej ojczyźnie, odżywa jego imponująca postać znów na ziemiach europejskich, a jeleń ten znosząc dobrze klimat drugiej półkuli, staje się restauratorem zwierzostanów jelenich w ogrodzonych rewirach europejskich.

Jeszcze w 1866 r. podjęto w Niemczech pierwsze próby w tym kierunku, a nieco później w Austrji krzyżowania wapiti wykazały nader pomyślne rezultaty. Pierwsze te pomyślne próby zachęciły coraz szersze koła hodowców do importu tej krwi zamorskiej. Przeciwnie, próby chowu czystej krwi wapiti niezadowolniły oczekiwania, u bar. Lafferta w Damwitz, w Meklemburgu. Zwierzęta znosiły wprawdzie dobrze klimat, ale mimo to rezultat był smutny, wyginęły co do nogi w dość krótkim czasie, jak się wyraża sam właściciel „dass dieselben unter anderthalb Jahren eingehen aus Gram, Heimweh“. Podobnie, a częstokroć jeszcze smutniej brzmią relacye innych hodowców. Ten sam bar. Laffert doznawszy zawodu z chowem czystej krwi wapiti, pocieszył się następnie produktami krzyżowań a mianowicie bastardami po łani europejskiej, które w 4tym



Walki ptaków u starożytnych Rzymian.

roku osiągnęły 250 klg. wagi. Do podobnych rezultatów doszedł w Niemczech p. Winter, zajmując się od r. 1879 krzyżowaniem, a państwo Pszczyn (Pless), okazało na łowieckiej wystawie w Kassel wieńce bastardów, w których charakter wapiti już się mało uwydatniał.

W Węgrzech po licznych rewirach magnackich prosperują doskonale bastardy, a jedynie tylko w domenie Totis ks Esterhazego nie poszczęściło się, wszystkie produkty krzyżowań wyginęły tam na krwawy mocz, co zapewne przypisać należy jakimś miejscowym wpływom siedliska. Gdzie tylko w ogrodzonych rewirach utrzymują jelenie waptli, okazała się potrzeba podwyższenia ogrodzeń, gdyż co wystarcza dla jelenia naszego, przesadza z lekkością wapiti mimo swej ciężkości ciała i budowy o wiele na pozór mniej odpowiedniej do wykonywania skoków olbrzymich. Przesadzenie $7^1/_2$ stóp wysokiego parkanu, to znów 4 stóp szer. rowu, po za którym był 6 stóp wysoki parkan jest skonstatowanym faktem, a sztuki tej dokonała cielna łani, wcale nie z musu, bo tylko tak, w przystępie dobrego humoru. Po takich dowodach zręczności ze strony płci pięknej w utrudnionych warunkach, musiano podnieść ogrodzenia do 3 metr. wysokości.

Oprócz wapiti napływa coraz częściej do Europy inny jeleń amerykański — wprawdzie nie w celach krzyżowania go z jeleniem naszym, bo ku temu się nie nadaje, lecz jedynie w celu aklimatyzacyi i jako zwierzostan w mniejszych rewirach. Jest nim jeleń Marama, cervus virginianus, odmiana wprawdzie drobna i delikatna, ale może najpiękniejsza ze wszystkich odmian, jakie się znajdują na kuli ziemskiej. Dokładny opis tego jelenia znajduje się w „Łowcu“ z r. 1896 str. 153, dlatego też pomijam tu stronę opisową, a natomiast przytaczam niektóre daty z hodowli tej odmiany w Austryi. Jeszcze w r. 1869 hr. Breuner sprowadził do swej posiadłości Graffenegg 22 sztuk, a w r. 1871 15 sztuk do Manhardtsberg (w dol. Austryi). Po dziesięciu latach wynosił przyrost zwierzostanu w Graffenegg 137 sztuk, a w Manhardtsberg po 9 latach 127 (według sprawozdania ks. na Raciborzu na zgromadz. towarz. łowieck. w Hamburgu w 1880).

Jeleń ten znosi się doskonale z sarnami, a przebywszy bardzo dobrze próbę aklimatyzacyjną, rokuje dobre nadzieje jako nader powabny zwierzostan rewirów ogrodzonych w Europie.

Od dawnych już lat zawitał do Europy jeleń Axis, mieszkaniec gorącej strefy Azyi i pomimo ogromnych różnic klimatycznych, zaaklimatyzował się w początkach tego stulecia w Anglii. Ztamtąd otrzymał parę axisów w r. 1811 król wirtemberski i umieścił je w Favorit-Park w Ludwigsburgu, gdzie pomimo rocznych odstrzeliwań 10 - 12 sztuk zwierzostan się utrzymał i obecnie około 100 sztuk liczy.

Pomijam tu mnóstwo innych odmian jeleni, jakie widzieć można często po zoologicznych ogrodach, są to mieszkańce bądź srogiego klimatu lądowego gór i płaskowyżyn azyatyckich, bądź wyspiarskiego podniebia wielkiego Sundu, z którymi od niedawnych dopiero lat rozpoczęły się próby aklimatyzacyi w ogrodach zoologicznych. Szlachetne te usiłowania mogą być prowadzone w nader pożytecznej paraleli i w rewirach ogrodzonych. Nie zawsze tam wprawdzie pracę uwieńczy skutek pożądany — lecz ofiarą trudów i kosztów osiągnięte nawet zawody nie pozostają bez wartości. Hodowca egzotycznej zwierzyny wstępując na to żmudne a nader szerokie pole z warstatem, jakiego doświadczalnie ogrodów zoologicznych posiadać nie mogą, może tu spełnić niepoślednią misyę w zakresie, którego następstwa dla praktyki nie dadzą się na razie obliczyć.

Trudno częstokroć dociec, jakiego rodzaju szkodliwe wpływy sprowadziły w danym wypadku zwyrodnienie zwierzostanów jelenich, to pewne jednak, że to wszystko, co niekorzystnie działa na zwierzostan w wolnej naturze, wy-

stąpiło w monstrualnych rozmiarach, gdy dłoń ludzka zamykając sanacyjny wpływ natury zamknęła jelenia w ogrodzonym lesie, obsypując go ze wszech stron często urojonemi dobrodziejstwy.

Jeszcze po dziś dzień, po długich bardzo latach praktyki, niema stałych norm określających najodpowiedniejsze utrzymanie zwierzostanów jelenich, ciągłe tam różnice w zasadzie i w szczegółach dające bardzo obfity materyał do dysput w kołach fachowych. Widocznie, że ciągle się tam coś psuje — myli szyki jednostronnych kombinacyj, a nierzadko hiobowe wieści dolatują z ust zrozpaczonych hodowców.

Tam już nie o zwyrodnieniu, nie o osłabieniu ustroju zwierzostanów jest mowa, bo to przedmiot banalny, nikogo już nie zajmie, dowiadujemy się o strasznej klęsce. Oto padł tam demon pomoru i zmiata swymi drapieżnymi środkami w krótkim czasie owoce długoletnich starań.

Wszelkie wrogie wpływy — cały świat zabójczych mikroorganizmów, pasożytów, do czego przyłączają się i działania podniebia, wymagają i w wolnej naturze mnóstwa ofiar i tak być musi, tego wymaga na żelaznych prawach oparta harmonia w państwie natury, gdzie życie z śmiercią w jeden nierozerwalny łączą się łańcuch, lecz jakiż to straszny przedstawia się obraz, gdy pomienione wpływy rozpoczną swe gospodarstwo wśród nadwątlonych zwierzostanów? Tam nie ginie, co ginąć musi pod brzemieniem konieczności, tam rozluźniły się pojedyncze ogniwa życiowego łańcucha i łańcuch rwie się w najsłabszych miejscach, ginie to, coby żyć mogło pod uciskiem przewagi, urosłej na gruncie praw zakłóconych.

Szpitalna to atmosfera, w jaką cię wprowadzam łaskawy czytelniku, radbym jej uniknąć, ale to trudno, gdy oddycha nią w chwili obecnej cały świat fachowy na zachodzie, gdy zachodzi obawa, że przedrze się ona i do nas razem z nieuniknioną reformą, jakiej ulega i ulegać będzie dalej i nasze łowiectwo. Co nam czynić należy, aby wspaniały zabytek naszych kniei uchować należycie i w stosunkach kulturnych, o tem nas pouczą własne doświadczenia, czego zaś zaniechać należy, to wszechstronną odpowiedź w tym kierunku dają nam stosunki na zachodzie i cały rejestr grzechów, jakich się tam dopuszczono w najlepszej myśli. Oby nam z tych przybytków, zkąd płynąć ma odżywczy strumień prawdziwie pięknych i wspaniałych wrażeń, nie zabrzmiał sarkastyczny zgrzyt niezadowolenia, aby nas nie dotknął upokarzający skalpel krytyka, których mnóstwo wywołały stosunki na zachodzie, rzucając nam zwrotkę, podobną do tej, jaką kończę ten ustęp swej pracy:

Gehegt in grosser Menge
Der Hirsch wird rein gequält,
Er darbt bei solch Gedränge
Und kummert nur und schällt.
So geht's nach allen Seiten
Der Mensch pfuscht stets hinein
An den Mühseligkeiten
Ist er meist Schuld allein.

NA GĘSI Z HUCZKAMI.

I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie.

Dziwnie jakoś przyszły mi na myśl słowa te genialnego twórcy „Maryi“ i dźwięczą w duszy tonem rozkosznej boleści i działają jak balsam na to zbolałe serce, w którem także smutek i tęsknota obrały sobie siedzibę odkąd powróciłem z uroczej Ukrainy. Tak, byłem w tej przez Zaleskiego i Goszczyńskiego opiewanej Ukrainie, odetchnąłem pełną piersią powietrzem stepowem, wzrok mój bujał po obszernej przestrzeni i oparł się chyba gdzieś o jaki kurhan, lub mogiłę, z którą znowu tysiące dziejowych wspomnień się łączy i tak wysnuwa się nić nieprzerwana dawnych dziejów i mimowolnie nuci się smętną dumkę. Pływałem po modrej fali Dniepru i tego mi właśnie żal, że to minęło, żem znowu musiał wrócić do naszej Galilei i słuchać monotonnego dźwięczenia deszczu po rynnie. Hej ty bujna Ukraino, ty mlekiem i miodem płynąca ziemico, poznałem cię i odrazu pokochałem całą duszą, pokochałem twoje stepy, pokochałem twoje kurhany, twoje smętnie szumiące dąbrowy, twoje stawy i rzeki i twoje polowania. Ach! te polowania sprawiły właśnie, żem się ośmielił, ja uczeń, ująć pióro w rękę i dopiero jako kandydat na myśliwego podzielić się z druhami w św. Hubercie wspomnieniami z polowania na gęsi z nagonką. Od najmłodszych lat moich najbardziej lubiałem łowy, knieję, strzelbę i psy, a gdy ojciec chciał mi największą zrobić przyjemność, to brał mnie z sobą do lasu na jakiego szaraka. Jako dziesięcioletni chłopak godzinami całemi stałem z flobertem w ręku na stanowisku w chlewach i strzelałem kulami szczury. Od szczurów przeszedłem do wron i srok, a potem crescendo do kopyr i chytrych mykitów; obecnie, gdy wynik nauk moich i kształcenie ducha analityka, lub fizyką są dodatnie, wówczas ojciec pozwala mi przyjechać na polowanie do Lipnika, a wtedy to już w nocy całkiem spać nie mogę, tylko jakieś w gorączce widziane obrazy kniei i zwierzyny przesuwają się przed memi oczami.

Miałem obiecane od ojca, że jeżeli przejdę do ósmej klasy gimnazyalnej, to w nagrodę weźmie mnie z sobą na Ukrainę do Ostrożany, gdzie ośmiosetmorgowy staw, a na nim całe stada dzikich kaczek i gęsi dostatecznie wynagrodzą mi mozolne czytanie Ciceronów, Demostenesów, Wergilich i Homerów. Bóg poszczęścił i stałem się właścicielem czterech pasków złotych na granatowym kołnierzu, za co też 6. lipca parowy rumak uniósł nas na wschód aż pod Humań do Ostrożany.

Przyjechawszy tylko z kolei chwyciliśmy za strzelby i udaliśmy się na groblę, gdzie czekała już na nas wielka łódź. Wsiadłszy do niej wypłynęliśmy na staw, w celu zbadania stanu zwierzyny. Hej, hej! wieczór ten uroczy nie wyjdzie mi nigdy z pamięci. Złota tarcza słoneczna chyliła się już ku zachodowi i zdawała zanurzać się w gładkiem zwierciadle wody, najmniejszy wietrzyk nie sfałdował powierzchni stawu i tak powoli i majestatycznie płynęliśmy dalej i dalej. Słońce pomału zaszło całkiem, lecz zachodnia część nieba płonęła purpurową zorzą, jakoby oblaną była roztopionem złotem i bursztynem. W pobliskiej

wiosce zadzwoniono właśnie na „Anioł pański“, a smętny głos dzwonów zdawał się płynąć po lśniącej toni stawu, odbijać się o oczerety i o nad brzegiem rosnące dęby i podwójnem echem płynąć hen gdzieś wysoko przed Tron Wszechmocnego, prosząc Go o zmiłowanie dla biednej naszej Ojczyzny i jej nieszczęśliwych synów. Przed nami wynurzały się ciągle jakieś oczerety, a koło nich spokojnie na gładkiej powierzchni wody wśród białych nenufarów pływały kaczki i gęsie podloty. Powoli poczęło zmierzchać coraz bardziej na wschodzie, wielka przestrzeń wody i błękit niebios zlewały się w jedną niebieską całość, na którą po chwili wypłynął księżyc i srebrnem światłem oblał staw, łódź i całe nasze towarzystwo. Gdzieś z trzcin dochodziło do naszych uszu ponure huczenie bąka, czasami w oczeret przed łodzią zapadła krzyżówka, lub stara gęś poważnem gęganiem nawoływała swe młode do snu. W chwilach takich mimowolnie palec spoczął na cynglu a oko usiłowało przedrzeć tajemniczą głębię oczeretów. Z wioski leżącej nad brzegiem stawu dolatywało dalekie naszczekiwanie psów, lub też delikatny nocny wietrzyk na skrzydłach swych przynosił nam smętne tony ukraińskiej dumki wygrywanej przez pastuszka na wiejskiej fujarce. I błogo nam było na duszy i swobodnie w sercu. Jedenasta wybiła na zegarze, gdyśmy wreszcie położyli się do snu, oczarowani tem, cośmy widzieli, a marząc o tem, co nas spotka nazajutrz na oryginalnem polowaniu na gęsi z huczkami.

Na polowanie to zjechało się trochę sąsiadów, kilka rządowych figur i na ośmiu łodziach wypłynęliśmy na staw. Huczki tj. nagonka obsiadła wielką łódź i pojechała naprzód do wierzchowin stawu, tam weszli w oczerety, po których brodzili wyżej pasa, a czasem po szyję w wodzie. Ja z ojcem siedziałem w ładnej i zgrabnej łódce noszącej nazwę „Córa fal“ w towarzystwie ładnych pań, których modre oczka, podobne do toni stawu, ścigały zapalczywie każdą krzyżówkę, przelatującą nad naszą łodzią na pełną wodę. Gdy huczki gromkim krzykiem odezwali się w oczeretach, zagrzmiały z łodzi pojedyncze strzały, które wkrótce zlały się w jedną kanonadę, a dymy tumanami unosiły się nad wodą. Miły dreszcz przeszedł mi po kościach i kurczowo ścisnąłem strzelbę w rękach; już kilka razy bez skutku strzeliłem, gdy wtem w trzecim takim miocie wodnym wypływają między naszą a sprawnika łódką gęsie podloty i majestatycznie podrywają się. Ojciec strzelił z dobrym skutkiem do podlota, ja zaś do starej gęsi, która ule- ciawszy sto kroków, spadła jak płachta na wodę. Słońce już dobrze przypiekało do wody, strzały powoli cichły, a huczki wyszedłszy z wody, obsiedli wielką łódź. Pojedyncze czajki z myśliwymi krążyły naokoło oczeretów, a ci podnosili ubite gęsi i kaczki, lub strzelali jeszcze do później zrywających się. Podpłynęliśmy dalej i nowe braliśmy sitowia i znowu świszczały koło uszu sąsiadów ołowiane pigułki aptekarza, strzelającego w sitowie, a serce jak młotem biło w piersi z radości i płuca z rozkoszą wciągały w siebie powietrze przesycone dymem. Wreszcie tarcza słoneczna schyliła się na zachodnią półkulę firmamentu niebios, białe chmurki podobne do stada baranków wypłynęły na błękitne sklepienie i lekki powiew wiatru sfałdował przeźroczą toń stawu. Wziąwszy jeszcze dwa sitowia, w których ojciec i ja ubiliśmy po dwie krzyżówki skierowaliśmy się ku domowi i całą siłą muszkułów wiosłujących „mużyków“ prulişmy sine wody stawu. Ogółem ubito dnia tego tylko siedem gęsi i czternaście krzyżówek, lecz bardzo wiele kaczek nie podjęto, szczególnie tych, które były nad oczeretem strzelane i spadły w sitowie. Nazajutrz jakieś sontagsjegerowskie towarzystwo ubiło jeszcze dziesięć gęsi i kilkanaście kaczek. W kilka dni później pływaliśmy jeszcze po stawie i zabiliśmy kilka kaczek, lecz już nie przed nagonką. Poetyczny powrót przy tajemniczem świetle księżyca i śliczny śpiew pewnej ładnej pani Ukrainki dopełniły tej przyjemności i świeży żal pozostawiły za sobą w sercu. Zofiówka przez Trembeckiego podana potomności godna rezydencya pięknej Greczynki, Kijów z cerkwiami o szczerozłotych kopułach i z ślicznymi widokami na lasy czernichowskie i na Dniepr szeroki — zasiany czajkami, lub małymi parochodami, wystawa kijowska, na której najwięcej wzmianki godnym jest śliczny myśliwski pawilon hr. Józefa Potockiego, Leszczyńce z magnackim parkiem, liczną psiarnią, wiekowym lasem jesioniowym, w którym dwadzieścia kilka wieków oczekuje ponowy i obławy, te ukraińskie wioski w jarach i parowach, nawet te charakterystyczne drogi szerokie minęły jak czarowny sen i pozostawiły najmilsze wspomnienie po sobie na całe życie. Nic więc dziwnego, że ze łzami w oczach opuszczając Kijów pożegnałem Ukrainę ze słowami na ustach:

„Żegnajcie bujne stepy, żegnajcie mogiły,
Do zobaczenia za rok — żegnaj kraju miły!“

Adam Łastowiecki.

DZIKIE GOŁĘBIE.

(Wspomnienie z młodości).

Napisał
ABGAR SOŁTAN.

[Ciąg dalszy]

Wiem, że to nie było ani elegancko, ani po rycersku, ale cóż? Bóg mi świadkiem, żem nie był wstanie powstrzymać się od tego okrzyku, tak bardzo ubliżającego matce mego ówczesnego ideału... Zresztą nie mogę sobie wytłumaczyć zupełnie tego fenomenu psychologicznego, dlaczego ja, wychowany w zasobach bezwzględnej wiary w dziedziczność krwi i usposobień, co do pani Okszyńskiej, nie miałem najmniejszych złudzeń i miałem ją za babę lichą, nędznego charakteru i nędznych popędów, a jej córka wydawała mi się najdoskonalszą istotą pod słońcem... Do dziś dnia tego zrozumieć nie mogę.

Stałem tak na rozstajnych drogach kilka minut, wreszcie splunąłem ze złością i stępo zawróciłem do domu.

* * *

Andrzej Pomian dotrzymał słowa. W tydzień po naszym odjeździe z Pomianówki, przyjechał do nas z Kaziem Kondratowiczem. Ucieszyłem się nimi ogromnie. Kazio był odrazu jak u siebie w domu; do wieczora znał wszystkich, żartował ze wszystkimi, a nawet umiał zyskać przyjaźń panny Zofii pomimo, że jej od pierwszej chwili zaczął wyrzucać jej wrogie usposobienie względem mnie. Broniła się, jak mogła, musiała jednak kapitulować przed Kondraszkową wymową i logiką... Cóż z tego?... Jak długo Kondraszek bawił u nas, tak długo był pozorny pokój z panną Zofią. Wnet jednak po jej wyjeździe rozpoczęły się znowu działania wojenne.

Andrzej na drugi dzień równo ze świtem wyjechał. Wnet po jego wyjeździe Kazik zwrócił się wprost do mnie z zapytaniem:

— No, pokaż mi te instrumenta, z którymi to mamy polować. Nic nie było przygotowanego; wiedziałem, że u jednego pobereżnika Ilka jest jakiś stary samopał i że syn leśniczego Petio Pielawski w dziuple dębu przechowuje starą dubeltówkę. Posłałem więc do obu tych szczęśliwców z prośbą, żeby się do mnie pofatygowali. Nie długośmy na nich czekali, ale za to rozpoczęły się długie pertraktacye, zanim udało się Kondraszkowi skłonić ich, żeby wydobyli z ukrycia te straszne bronie.

Rozpacz mnie chwyciła, gdym te „oręże“ zobaczył: Dubeltówka Pielawskiego, była to ongiś bardzo świetna broń w Anglii robiona, którą odebrano w 63. roku od jakiegoś magnata; strzelbę tę „wyszachrował“ stary Pielawski od sekretarza „stanowego“ i z obawy, żeby nie wpaść w podejrzenie „niebłagonadiożności“, trzymał przez blisko piętnaście lat w dziuple. Wskutek tego tak była zardzewiała, że była zupełnie niemożliwa do strzelania.

Kondraszek przypatrywał się jej z wielką uwagą, wówczas kilka razy szepnął sam do siebie „szkoda! szkoda!“ później nagle zwrócił się do młodego Pielawskiego i z hultajskim uśmiechem rzekł:

— No, strzelać z tego nie można. Ale pan ma skarb... To warte tysiące... Niech pan poszle tę strzelbę do Kijowa, a zapłacą panu w muzeum archeologicznem kilka tysięcy... Wie pan, że to jest strzelba króla Salomona... Tak jest! samego nieboszczyka króla Salomona... To nawet grzech z tego strzelać...

Tu podsunął mu strzelbę do oczu i wskazując palcem na jakieś resztki srebrnej inkrustacyi, mówił:

— Patrz pan tylko! Tu jest napis hebrajski... pisze «nasz król Szlomko z tego gweru strzelał» a to dalej, to żydowskie numera i liczby co zabił... Ma pan. Słoniów trzysta ośmdziesiąt, lwów tysiąc ośmset dwa, tygrysów trzy tysiące czterdzieści pięć... Panie, niech pan to szanuje, to majątek... Że też żydzi jej panu nie ukradli... Niech pan pilnuje, oni jak się dowiedzą, to będą się starali ukraść, a jak nie potrafią, to dadzą panu, co pan zechce... Co pan myśli? Co to dla żydów za pamiątka, strzelba króla Salomona?... Pan wie przecież, że za jedną nitkę z jego, z przeproszeniem, szarawarów, to oni płacą po dziesięć dukatów, to co oni panu dadzą za strzelbę!

Głupi Petio Pielawski spoglądał na Kondraszka osłupiałemi oczyma i badał, czy on zeń kpi, czy prawdę mówi... Wyraz twarzy jednak Kazia był tak poważny, w jego oczach przebijało tak prawdziwe zainteresowanie się «cudownym zabytkiem», że wszelka wątpliwość znikła odrazu z umysłu pana Petia; głupia twarz jego zaczęła się zwolna rozpromieniać niezwykłem uszczęśliwieniem, wreszcie niespodzianie schwycił rękę Kondraszka i począł ją gwałtownie całować.

— Panie dobrodzieju — wołał — zaraz posyłam Moszka do zińkowskiego rabina, niech przyjadą, niech zobaczą... Sprzedam, jak Boga kocham sprzedam, za nic, za marne pięć tysięcy karbowańców i kupię folwark na Besarabii... I ożenię się, ożenię!

I schwycił nagle drogocenny zabytek archeologiczny wyleciał z nim jak oparzony.

Niewinny ten żart Kondraszka sprawił, że Petio Pielawski włóczył się przez lat kilka z zardzewiałą dubeltówką po wszystkich miasteczkach, gdzie mieszkali rabini chasydów... i proponował im nabycie starożytnej strzelby króla Salomona... Gdy jednak nie znalazł chętnego nabywcy, zgorzkniał zupełnie, znienawidził żydów śmiertelnie i przed wszystkimi narzekał, że go żydzi zniszczyli, zrujnowali doszczętnie:

— Bo to, panie dobrodzieju — mawiał — potrzeba na to żyda... Trafia się gałganowi prawdziwa strzelba króla Salomona, jak Boga kocham, prawdziwa, czysty antyk, warta dziesięc tysięcy dukatów... Ale co, biedny szlachcic potrzebuje grosza, myślę ja sobie, niech choć za marne pieniądze kupią, zawsze to niby im się należy po tym Salomonie, królu żydowskim. Powiadam: dajcie marnych pięć tysiączków karbowanych... No i co pan dobrodziej myśli?... Dali, co?... Gdzież tam!... On głupi mi powiada, że król Salomon ze strzelby nie strzelał... Co za oszust, myśli, że mnie otumani, a któżby ze strzelby strzelał, jeżeli taki Salomon nie strzelał, najmędrszy król... Ciekawym z czego strzelał? Taki dureń, przepraszam honor pański, może myśli, że Salomon z bzinowej pukawki strzelał, albo z czego?... Ot, skapcanieli żydzi ze wszystkiem i koniec.

Po nagłem jednak wyjściu Petia, Kondraszek zrobił bardzo rzadką minę, zrozpaczonem okiem rzucił na zniszczony, powiązany sznurkami samopał i łamiąc ręce, zawołał:

— Z tej kolubryny będziemy chyba we dwóch strzelali... A może to i dobrze, bo jeden z trudnością by ją dźwigał... Jeżeli tamta, tego waryata, pochodzi od króla Salomona, to z tym samopałem chyba sam Nemrod nieboszczyk na nosorożce chadzał...

Nagle zwrócił się do zadumanego Ilka, pobereżnika i uderzając go po przyjacielsku w ramię, zawołał:

— Hej Ilku, wrażyj synu, «mental» ci od cesarza dostanę, a może i «krest», jeżeli wystarasz się dla nas gdzie o dwie doore strzelby.

Ilko milczał jak słup, choć oczy śmiały mu się do kresta.

— Słuchaj Ilku, kupię ci tyle prochu i gładkiego, fabrycznego śrutu, że ci na trzy lata wystarczy, tylko dostań dla nas dwie strzelby.

Ilko poskrobał się w głowę, chrząknął parę razy, ale głosu ludzkiego nie wydał. Kondraszek uznał za stosowne podnieść cenę, więc rzekł, uderzając trzcinką po sutych, juchtowych cholewach, zdobiących jego długie nogi:

— Patrz, te buty, te sławne buty, ze skóry psa morskiego, daruję ci, jak będę ztąd wyjeżdżał, tylko dostań dla nas dwie strzelby.

Pokusa była tak namacalna, że Ilko nie mógł jej nie uledz; poskrobał się jeszcze raz w głowę i szepnął

— Nie dwie, ale trzy doskonalne rusznice, ma pan kapitan za Dniestrem... Tylko ja nie śmiał gadać.

— A to czemu? — wmięszałem się ja do rozmowy.

— A, bom się bał — odrzekł ciągle zakłopotany

Ilko — panicz nie pozwalają cudzym polować, a on czasem na nasz brzeg przypłynie, taj sobie sojki strzela, tak ponad wodę...

— Tylko sojki? — spytałem z udanym gniewem.

— No, taj turkawki, taj gołęby... te dzikie, co po skałach siedzą, te grzywacze.

— A zajęcy, kozłów, dzików nie strzela?

Indagowałem dalej ku wielkiemu memu zgorszeniu. Ilko nietylko nie przestraszył się mych słów, lecz przeciwnie, zabawiły go one bardzo, bo zaczął się śmiać serdecznie.

— Czego się śmiejesz, błaźnie? — wybuchnąłem.

Lecz i to nie zbiło z tropu zuchwałego Ilka. Śmiał się dalej i śmiejąc się odpowiadał:

— Ta, jak się tu nie śmiać, kiedy panicz za takie dzikie zwierzęta opowiadają... He! he!... Dzikie kozy, dzikie świnie. Ta to ono kiedyś było, ale kiedy? kiedy?... Zając?... To on się czasem i trafi, ale rzadko... Zimą wilczyska, to się ciągają... Jaki zwierz jest, to lis, ale on mnie starego i to w zimie zmądruje, a cóż dopiero paniczów i w lecie, bez tropu... Ta, bo jeszcze i to, co lisa w lecie szkoda strzelać, bo skóra i dwa złote nie warta.

Praktyczny Kondraszek, zrozumiawszy widocznie, że cały ten dyskurs z Ilkiem do celu nie prowadzi, zwrócił rozmowę odrazu na praktyczniejsze tory, zapytując:

— A powiedz nam, jak się ten kapitan nazywa i jak od niego można strzelby dostać?...

Ilko znowu się poskrobał w głowę i namyślał się długo, zanim odpowiedział:

— Ta jak by się nazywał?... Kapitan taj koniec... A jak on się pisze, to ja jego nie śmiał pytać... On jest carski kapitan, ma chresty i mentale... On od pana Rogacza z Gruszowiec, na tureckim, to jest niby na besarabskim brzegu zakupił sobie dwadzieścia falcz ziemi ponad rzeką i sadzi tiutiun... Ma ze sobą czarnego jakiegoś charaba, czy tataryna I tak sobie żyje.

— Daleko to do niego? — indagował dalej Kondraszek.

Ilko znowu rozśmiał się tak, jakby mu kto zadał bardzo głupie pytanie i z lekceważeniem odpowiedział:

— Jakie tam ma być daleko... Ot zaraz na drugiej stronie rzeki... Jak panicz wyjdą w nasz ogród nad skały, to i kapitańską chałupę widać.

— A on będzie dziś w domu?

— Czemu by nie miał być? On zawsze w domu.

Kondraszek zwrócił się ku mnie i rzekł tak stanowczo, że nie mogłem nawet myśleć o opozycyi:

— Nie ma się nad czem zastanawiać... Zabieraj Ilka i niech nas wiedzie do tego kapitana... Moja już rzecz, że wyproszę od niego dwie strzelby na dwa tygodnie... Proch, śrut i kapiszony mam.

Potem zwrócił się do Ilka i rzekł:

— No, Ilku, a przewieziesz nas przez rzekę do kapitana?

— Czemu by nie? — brzmiała odpowiedź rozradowanego pobereżnika.

Chciałem przedstawić Kazikowi, że nie wypada, byśmy tak niespodzianie, bez żadnej racyonalnej przyczyny nachodzili nieznajomego człowieka i odrazu żądali, żeby nam wypożyczył swoje strzelby. Rozgorączkowany jednak Kazik nie dał mi nawet przyjść do słowa, tylko despotycznie zakomenderował:

— No, nie ma co tracić czasu. Bierz kapelusz i marsz za mną!...

Zamilkłem i usłuchałem komendy bez dalszej opozycyi. Za pięć minut ruszyliśmy na tę awanturniczą wyprawę, nie powiedziawszy o niej nikomu w domu ani pół słowa. Ilko szedł przodem, tuż za nim Kazik, ja zamykałem ten pochód i rozmyślałem, co z tego może wypaść. Wiedziałem, że mama nie będzie bardzo rada z zawarcia znajomości z jakimś tam kapitanem, może poprostu awanturnikiem... Czułem jednak, że przebaczenie mamy uda mi się z łatwością uzyskać. Większy strach uczuwałem na myśl, że panna Zofia zaraz się dowie o tej eskapadzie i z tą wiadomością poleci do babuni.. No, to dopiero będzie bal — myślałem w duchu — jak ona to po swojemu babuni przedstawi... Strach mnie zaczął ogarniać, lecz mimo to szedłem dalej milcząc; nie miałem wprost śmiałości powiedzieć Kondraszkowi, że głupstwo robi, prowadząc mnie na tę egzotyczną wizytę.

Milcząc, przeszliśmy cały ogród, pełen olbrzymich, starych drzew, minęliśmy myśliwski dworek, położony na urwisku skały, wiszącej już nad samym brzegiem Dniestru, weszliśmy do winnicy, która roztaczała się na spadzistości, ku rzece... Kondraszek milczał ciągle... Aż gdy stanęliśmy nad samem urwiskiem, a tuż pod naszemi stopami, tylko o jakie tysiąc stóp pod nami ukazała się wspaniała wstęga rzeki, to Kondraszek stanął, schwycił mnie niespodzianie za szyję i całując serdecznie zawołał:

— Dziękuję ci, żeś mnie tu przywiózł... Co za wspaniały widok!... Co za urwiska!... Tu człowiek dopiero czuje prawdziwie, że świat stworzył Pan Bóg... Wielki, wszechmocny Bóg, a nie żadna głupia natura... Głupie Niemcy ze swoją naturą! Głupie! Głupie! Głupie Niemcy!

Wołał całą siłą swej potężnej piersi, a stokrotne echo od szarych sylurskich skał i od białych, wapiennych szczytów i z rozpadlin głębokich odpowiadało zawzięcie!

— Głupie! Głupie!... Głupie Niemcy!

A później, coraz szerzej, coraz to dalej odzywały się odgłosy:

— Głupie! Głupie!... Głupie Niemcy!

Jakiś czas Ilko słuchał z nabożeństwem i słów Kondraszka i echo jego głosu, wkrótce jednak uznał, że to zatrzymanie i ta rozmowa ze skałami jest wyraźną stratą czasu, bo przerwał nam nasze zachwyty mówiąc:

— Niech sobie będą te Niemcy i głupie, a my chodźmy, będzie późno z powrotem się przeprawiać przez wodę... Proszę paniczów za mną iść krok w krok i nie patrzyć się pod siebie, żeby się jeszcze głowa nie zakręciła.

Rozpoczął się karkołomny pochód po ścieżynce wąskiej, nad wszelki wyraz stromej a wijącej się ustawicznie po nad niezgłębione przepaści. Wydeptana ona była stopą ludzką tuż obok strasznego jaru, którym spływała od wieków woda z wysokich równin w dół ku rzece, po każdej nawalnicy i burzy. Pochód ten dla mnie nie był zupełnie nowością, od lat pierwszego dzieciństwa nauczyłem się był łazić po tych skałach i ścieżkach, a żadna przepaść, choćby najgłębsza, nie sprawiała mi zupełnie zawrotu głowy... Spuszczałem się więc z zimną krwią i z gęstą miną... Kondraszek widocznie nie był przyzwyczajony do takich pochodów, bo szedł bez zwykłej u niego brawury, klnąc z cicha:

— A niech go dyabli porwą z takiemi drogami!

Nie było to miejsce stosowne do dłuższej rozmowy, więc ani słowem nie odpowiedziałem na te jego narzekania, w głębi duszy uczuwałem przytem wielką dumę, że wreszcie znalazło się ćwiczenie cielesne, w którem ja prześcignąłem niezrównanego, niedościgłego Kondraszka.

Ciąg dalszy nastąpi.

MYŚLIWY.

— „A tuś mi bratku! Ot, w sam raz
Nawijasz się przed oczy!
Taki paskudny dzisiaj czas,
Niebo się chmurzy, mroczy.

„Ponowa, spadł już pierwszy śnieg,
A sypał bez pamięci,
I strzelec widać sobie rzekł,
Że dziś mi kark ukręci.

„Feralny dzień zaprawdę jest,
Nietęgie dzisiaj łowy;
Ten pudlarz chciał mi sprawić chrzest
I dobrać się do głowy.

„Ale od czegoż jestem lis?
Skręciłem kitę w lewo —
On w lewo trzepnął raz i bis,
Miast w futro, trafił w drzewo.

„I wściekły, że to pudło dał,
Jak zacznie kląć okropnie,
Fuzją za kiepski cisnął strzał,
Jak nogą psa nie kopnie!

„Nie głupim czekać — chyłkiem też
Przedarłem się do lasu,
I wlazłem pod ten oto kierz,
Tak sobie... dla wywczasu.

„Biedny szaraku, choćbyś ty
Zaklinał mnie na duszę,
I choćbyś gorzkie ronił łzy,
To jednak zjeść cię muszę.

„Bom wściekle głodny — od dni trzech
Nie kładłem nic na zębie!
Nie dla mykity leśny mech,
Lub żołędź gdzieś na dębie.

„Więc choć mi ciebie bardzo żal,
Że sprawię ci ambaras,
Abym nie musiał biedz gdzieś w dal,
Raz, dwa — i zjem cię zaraz!....“

I pożądliwy szle już wzrok
Na kota, co śpi w śniegu,
Już ma stanowczy zrobić skok,
Lecz spojrzał w bok — pies w biegu!



Wtem jakiś szelest wpadł mu w słuch,
Drgnął całem ciałem swojem....
— „Et, przywidzenie, wszakżem zuch,
Łup trzeba wziąć przebojem!“

Źle! Więc się chyłkiem cofa wstecz,
I kurczy swe rozmiary:
— „Zjadłbym cię chętnie, kocie, lecz
Tyś dla mnie już za... stary!....“

Antoni Jastrzębiec.

OSTATNI NIEDŹWIEDŹ.

Niedźwiedź poszedł.

Strzelano do niego potężnie. Przeszedł prawie przez całą linię i literalnie zasypano go kulami; pędził jednak takim szalonym galopem, tak szybko przesuwał się w gęstwinie zasypanych śniegiem drzew i krzaków, że wziąć go na cel było niesłychanie trudno, a rozlegające się co chwila wystrzały przynaglały go tylko do biegu.

Gdyby nie był zmienił kierunku, uszedłby cało. Minąwszy jednak dwa czy trzy stanowiska, nagle, bez żadnej przyczyny, skręcił w bok i tym samym wściekłym galopem poszedł na przebój, przez łańcuch.

Nie uszło mu to bezkarnie.

Strzelec, na którego się natknął, oszołomiony takim niespodziewanym manewrem i prawie zbity z pantałyku, zmieszał się, ale wystrzelił.

Wystrzał był dany z oddalenia kilku kroków.

Niedźwiedź początkowo osunął się i zarył w śnieg, jednakowoż na miejscu nie pozostał. Przyszedł powoli do siebie i poszedł... cichym, powolnym krokiem, ale poszedł.

Obława się skończyła.

Na miejscu ostatniego wystrzału zbierali się myśliwi, tłum ich rósł z każdą chwilą, coraz większy i większy. Wszystkich ciągnęło coś, aby czemprędzej spojrzeć na to miejsce, na którem rozegrał się ostatni akt przedstawienia, na którem człowiek i zwierzę stanęli sobie oko w oko, na którem pozostała krew jednego z nich i które mogło stać się dramatem dla nich obu.

Wszyscy nosili na sobie jeszcze ślady dopiero co przebytego wzruszenia. Tylko co przeżyte chwile nerwowego naprężenia dawały się we znaki, a ogólne ożywienie było jakieś chorobliwe. Twarze wszystkich były blade, oddech ciężki i urywany. Oczy świeciły im się jakimś szczególnym, suchotniczym blaskiem, w tonie głosów słyszeć się dawały ostre i krzykliwe nuty.

Prawie wszyscy widzieli zwierza, prawie każdy strzelał do niego — a to nie przechodzi bezkarnie.

Wszyscy żyli zdwojonem życiem; każdy odczuwał potrzebę silniejszego ruchu, potrzebę wywnętrzenia się. Krew jednak jeszcze nadto silnie waliła w skronie, głos nieraz odmawiał posłuszeństwa... Z piersi wyrywały się tylko krótkie, urywane frazesy.

— Poszedł?

— Poszedł!

— A przecież osunął się.

— Na wszystkie cztery...

— Podniósł się, bestja!

— Ogromny!

— Takiego jeszcze nie widziałem.

— Strzelałeś pan?

— Naturalnie! Z obu luf.

— Prawie wszyscy strzelali.

— Kanonada była tęga.

— Śliczna.

— Słychać było tylko: raz, dwa — raz, dwa!

— Przez całą prawie linię się przesunął.

— Co tu gadać!... mądry!

— Dwóch tylko nie doszedł.

— Wyszedł potem na pole, na zupełnie czyste pole.

— Zbili biedaka z tropu.

— Oszalał!

— Ja także dwa razy spudłowałem.

Na miejscu, gdzie śnieg był zryty, stał pan Michał i machinalnie wpatrywał się w ślad, nie zwracając uwagi ani na otaczających go myśliwych, ani na ich paplaninę, która co chwila stawała się głośniejszą. Pan Michał był wielce zdumiony i stał jak człowiek, który w żaden sposób nie może uwierzyć w fakt spełniony, pomimo jego oczywistości.

— Ciekawe! — mruknął w zadumaniu, zwracając się do leśniczego Sasa.

— Co takiego?

— Gdzie się ta bestja podziała?

Sas w milczeniu wskazał ręką na ślad.

— Widzę, ależ tam przecie zaraz będzie pole.

— Pole — potwierdził Sas. — Do samego Ostrówka pole.

— To i cóż?... Może do Ostrówka w gościnę poszedł, co?

— Na co mu do Ostrówka? — Obejdzie.

— A ztąd gdzie?

— No, do ostrowieckiego lasu, w gąszcze. Ma prostą drogę.

— Ależ to prawie mila przez czyste pole!

— Nie ma się gdzieindziej podziać.

— Co pan mówisz!

— Przecież nie zawróci!

— Co tu robić?

— Trzeba iść śladem. Jak skręci, to przecież będziemy widzieli.

Pan Michał spojrzał na zegarek.

— Późno.

— A może go dognamy? Dostał potężnie.

— Do pola daleko ztąd?

— Z trzysta, czterysta kroków. Może się gdzie bestja w krzakach zaplątała.

— Hm, trzeba iść — zgodził się pan Michał, pomyślawszy przez chwilę. — Na czyste pole nie pójdzie.

— A jak się wysunie, tem lepiej. Będzie widoczniejszy.

— Trzeba iść — powtórzył raz jeszcze pan Michał, zwracając się do zebranych dokoła niego myśliwych i jakby pytając się o radę, chociaż z tonu głosu jego można było wywnioskować, iż co do niego, to kwestja była już rozstrzygnięta i to rozstrzygnięta ostatecznie.

— Naturalnie, że trzeba — potwierdził jego brat, pan Józef.

— Przecież go tak *allein lassen* — podchwycił zarządca lasowy, Kunz, dla którego niepójście było oczywiście rzeczą niemożliwą.

Inni, chociaż się nie opierali, to jednakowoż nie okazywali wielkiej chęci do usłuchania rady.

Wśród obecnych było bezsprzecznie wielu tęgich myśliwych... Byli tam ludzie, którzy nie raz i nie dwa spotykali się z niedźwiedziem. Ale dopiero co przebytych wzruszeń było już dosyć, dawało się odczuwać zmęczenie. Rozpoczęła się reakcja i perspektywa spotkania się z zranionem i rozjuszonem zwierzęciem nie przedstawiała się tak ponętnie,

jakby to może było przed dziesięciu minutami, gdy nerwowe naprężenie nie doznało jeszcze przerwy.

Pan Michał widocznie spodziewał się tego i widocznie był zadowolony z obrotu, jaki sprawa wzięła. Nie myślał wcale gnać za niedźwiedziem w większem jeszcze towarzystwie, to też natychmiast skorzystał z chwili ogólnego niezdecydowania.

— Dognać go zapewne się nie uda — rzekł — lecz trzeba go wyśledzić po świeżym tropie. Można go będzie znowu obciąć.

Słuchacze doskonale rozumieli, że jego główne zadanie wcale nie spoczywało w tem, aby urządzić dla nich nową obławę; nie uważali jednak za stosowne zwrócić uwagi na tę stronę sprawy, to też natychmiast zgodzili się na to, iż istnieje mało szans dognania zwierzęcia, a śledzić go w całej kompanii nietylko niema potrzeby, ale jest nawet niewygodnie.

— Jeżeli nie poszedł daleko, to go obetniemy — ciągnął dalej pan Michał, jakby do siebie i nie zwracając się się do nikogo w szczególności.

— Z Sasem razem w dwójkę pójdziecie?

— Tak... Zresztą i brat z Kunzem także pójdą.

— Na wypadek, jeżeli się na niego natkniemy — dodał pan Józef — czterech wystarczy.

— Po co więcej? Zawadzaliby tylko! — zakończył leśniczy.

— I to tylko *zur grösseren Sicherheit;* jeżeli zatem natkniemy się na niego — dorzucił Kunz, lubiący, jak i większość Niemców, wtrącać niepotrzebnie do rozmowy słowa niemieckie, pomimo, iż doskonale umiał po polsku.

— A my do domu?

— Zapewne, do domu.

— Dobrze.

W czasie układów wszyscy czuli się jakoś nieswojsko. Coś w rodzaju kłamstwa dźwięczało w dowodzeniach stron obu i co najgorsza, kłamstwa aż nadto widocznego. Koniec końcem jednak wszyscy byli zadowoleni z rozstrzygnięcia kwestji w ten sposób i dlatego też nikt nie miał ochoty zwrócić uwagi na tę, w istocie, postronną okoliczność. Mimo to czuć było całą nieswojskość położenia i wszyscy się ucieszyli, gdy to „dobrze“ niejako przypieczętowało sprawę. Przyjęto to słówko jako ostateczne rozstrzygnięcie sprawy, które dalsze roztrząsania czyniło zbytecznemi.

— Sanie nasze przyszlijcie do Ostrówka.

— A nie zapomnijcie o koszyku z żywnością — dodał pan Józef.

— Nie zawadziłoby teraz trzasnąć po kieliszku — odezwał się Sas, uśmiechając się z pod wąsa.

Propozycyę tę przyjęto z radością i myśliwi zaczęli wyciągać manierki.

Czarka nie obeszła jeszcze kolejki, gdy mały oddziałek myśliwych z panem Michałem był już daleko.

— Nie dognamy — mówił z obawą pan Michał.

— Żeby się tylko z krzaków na czyste pole wybrać, będziemy mieli wszystko jak na stole — uspokajał go leśniczy.

— Dognamy, bezwarunkowo dognamy — twierdził pan Józef z przekonaniem, jakby już niedźwiedzia miał na kilkadziesiąt kroków przed oczyma.

Kunz milczał, ale tak następował na pięty idącemu przed nim Sasowi, że zdawało się, iż lada chwila zadepcze go w śniegu.

W miarę tego, jak wchodzili w głąb gąszcza, wszyscy zniżali głos i tylko zrzadka, szeptem zamieniali z sobą krótkie, urywane zdania. Zwierz był raniony ciężko i może też został w gąszczu. Możliwość spotkania się z nim lada chwila oko w oko uznawali wszyscy i wszyscy też byli w pogotowiu. Wszyscy dobrze rozumieli, co znaczyło dognać niedźwiedzia i jakim on bywa przy podobnego rodzaju spotkaniach.

Szli śladem, nie odstępując od niego ani na krok, a przy najmniejszym skręcie zatrzymywali się i pilnie się wpatrywali, zanim posunęli się naprzód.

Ślad jednakowoż znać było wprost w jednym, raz przyjętym kierunku.

— Prosto w pole gna, jak Boga kocham, prosto w pole — dziwił się Sas.

— Nie może być; na skraju z pewnością się cofnie z powrotem w las.

Nie cofnął się jednak. Wybrawszy się z gąszcza, niedźwiedź poszedł wprost, przez otwarte pole.

— Naturalnie, poszedł w gościnę do Ostrówka — przemówił prawie ze śmiechem Sas.

— Gdzież on jest, że go nie widać?

— Jak tylko się dostaniemy na wzgórek, zaraz zobaczymy.

Wszyscy przyspieszyli kroku i o mało nie biegli śladem niedźwiedzia. Po dziesięciu minutach dostali się na pagórek, a przed ich oczyma roztoczyła się przestronna panorama.

Śnieżna równina, otoczona dalekim lasem i poprzerzynana podłużnymi zworami, przedstawiła się ich oczom. W odległości pół mili może widać było małą, składającą się z kilku chałup wiosczynę. Przyczepiła się niemal u samego wyjścia jednego z najbliższych zworów. Dalej ciągnęły się sitowia niewielkiej, pokrytej śniegiem rzeczki. Następnie rozpoczynał się młodnik, a za nim widniał wysoki, ciemny las do samego kraju horyzontu.

Z miejsca, na którem stali nasi myśliwi, na kilka kilometrów dokoła wszystko było widać jak na dłoni.

Ale niedźwiedzia nie było.

Ślad w prostej linii prowadził na górę najbliższego zworu i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że niedźwiedź tam się znajduje.

— Spuścił się do zworu!... W zworze! — mimowoli wyrwał się okrzyk wszystkim i wszyscy, brnąc po kolana w śniegu, rzucili się naprzód, o ile tylko pozwalały na to ich siły.

— Jak małe dzieci — irytował się Sas — czyż tak można?... Poszaleli!

Biedaka bolała noga i pomimo wszystkich wysiłków pozostawał za drugimi w tyle.

— Panie Michale.. czyż tak można? — powtórzył jeszcze raz.

Pan Michał zatrzymał się zlekka, inni także przystanęli.

— Cóż, stary dziku — rzekł, wesoło uśmiechając się — zacząłeś pozostawać w tyle?

— Czyż tak można? — powtarzał uporczywie Sas. — Sami przecież wiecie, noga..

— No, no, leż stary — rzekł pan Michał, uśmiechając się znowu.

Zaczął znowu wierzyć w powodzenie gonitwy i sypać żarcikami.

Po kilku chwilach wszyscy stanęli nad zworem. Obrywając się nagle głęboko, zwór, z krętymi brzegami, ciągnął się wąskim, nierównym pasem. Zarosły był na dnie krzakami i trzciną wodną. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że niedźwiedź tam się ukrył; widać go jednak nie było. Ślad ciągnął się przez urwisko i ginął w krzakach.

— Cóż, pójdziemy na dół? — zapytał pan Józef.

Pan Michał nie odpowiadał, widocznie namyślając się, od czego zacząć.

— Nie, spuszczać się niema po co — rzekł szybko szeptem Sas — Nie można... Jeżeli legł, to dojdziemy do niego i później – jeżeli zaś jest jeszcze w biegu, to będziemy go doganiali brzegami... Na któryś z nich przecież się wysunie.

— Tak – dodał pan Michał — naprawdę do Ostrówka lezie!

— A jak się zacznie wybierać na wierzch, weźmiemy go z brzegu.

— Tak będzie pewniej — zgodził się pan Michał.

— A więc po obu brzegach *muss man gehen?* — zapytał Kunz.

— Tak, podzielimy się po dwóch.

— *Wir gehen doch zusammen?* — szepnął Kunz do pana Józefa.

— Pójdziemy — odparł pan Józef takim samym szeptem.

— No, nie — wmieszał się w ich rozmowę z uśmiechem pan Michał. — Zdaje mi się, iż lepiej będzie, jeżeli ty, Józiu, pójdziesz z Sasem, a pan, panie Kunz, ze mną.

— Dlaczego? Niech idą razem! — zawołał Sas trochę protekcyonalnym tonem.

Zawsze usłużny i zachowujący się z szacunkiem wobec pana Michała, na polowaniach Sas stawał się zupełnie innym. Zamiast mówić do niego „pan" zagadywał go przez „wy", a w chwilach stanowczych, a szczególnie, gdy nie było obcych, czuł się z nim na równym stopniu; wobec pana Józefa i Kunza zaś zachowywał się nawet trochę z wysoka, jak się powinno zachowywać wobec młodzieży, która musi zważać na to, co powiada pan Michał, a w następstwie, co powiada on, leśniczy Sas.

— Niech idą razem — powtórzył jeszcze raz.

— Każdy z nich gorączka, żeby tylko co z tego nie wyszło — nie mógł się zdecydować pan Michał.

— Przecież nie małe dzieci.

— Nie, Michasiu, nie, już ja z nim pójdę — nastawał pan Józef.

— Pójdziemy razem. My przecież zawsze *halten zusammen* — powtarzał Kunz.

Iść z panem Michałem nie miał wcale ochoty. Jak z nim pójdzie, to sprawa się na tem skończy, że pan Michał niedźwiedzia ubije.

— Sam człowiek nawet do strzału nie dojdzie — pomyślał nie bez podstawy Kunz.

Podobne podejrzenia powstawały i w głowie pana Józefa co do Sasa, to też obaj obstawali przy swojem.

Pan Michał doskonale rozumiał, gdzie się kryje tajemnica; na sprzeczki jednak nie było czasu, to też ustąpił.

— Jabym za nim i nie zdążył — rzekł Sas, wskazując głową na Kunza. — Poleci, a przecież go za połę nie uchwycę.

— I to prawda.

Pan Michał z Sasem poszli jednym brzegiem, pan Józef z Kunzem drugim brzegiem zworu.

— Uważaj Józiu – rzekł jeszcze raz pan Michał, odchodząc — z nim niema żartów, pamiętaj.

— A spieszcie się — zawołał za nimi Sas. — Jeżeli jeszcze żywy, to wkrótce wysunie się ze zworu.

— Patrzcie dobrze na oba oczy — dodał pan Michał.

— Jak tylko w krzakach coś zaszeleści, z pewnością pewnością tam będzie — ciągnął dalej Sas, nie przywiązując zupełnie znaczenia do tego, że pan Józef i Kunz nie raz i nie dwa spotykali się z niedźwiedziem i że obydwaj w całej okolicy słyną nietylko jako pierwszorzędni strzelcy, z którymi on sam już teraz równać się nie może, ale także jako myśliwi, którzy już niejedno widzieli na tym świecie.

— No, stary, teraz spiesz, czekać nie będę — zawołał pan Michał i szybko posunął się naprzód.

Sas skrzywił się trochę, noga dawała mu się we znaki; pojmował jednak, że należy się spieszyć i nie odpowiedział nic.

— I teraz to się stać musiało — mruczał do siebie. — Bywało, jak ją natrę spisytusem mrówczanym, nie boli, a teraz, jakby na złość, natarłem i boli.

Blade, zaledwie widoczne z poza mgły, słońce kłoniło się nad lasem, zmierzch zimowego wieczoru się zbliżał.

Pan Michał spojrzał na zegarek i mimomoli przyspieszył kroku. Sas widocznie coraz dalej pozostawał w tyle.

Drugim brzegiem zworu szli pan Józef i Kunz. Szli w milczeniu dosyć ostro, a rosłe ich i zgrabne postacie odrzynały się pięknie na białem tle obrazu.

Pan Michał szedł, bacznie patrząc w dół. Miejscami gęstwina przerzedzała się i w przejściach widać było ślady łap niedźwiedzich.

— Idzie — pomyślał pan Michał i jeszcze szybciej iść począł.

Sas wytężał wszystkie siły, mimo to jednak odległość między nim a Michałem zwiększała się co chwila.

Obszedłszy jeden z zygzaków, pan Michał spojrzał na brata i na Kunza i zatrzymał się. — Obydwaj stali na samym brzegu zworu i bacznie wpatrywali się w dół.

Zaczął się także przyglądać, ale nie widział nic.

Pan Józef machnął do niego ręką, wskazując na krzaki.

— Czyżby go zobaczyli? — pomyślał pan Michał i pobiegł naprzód.

Krew waliła mu w skroniach, literalnie tracił oddech, jakieś drżenie nerwowe ściskało mu gardło. Serce z jakimś kolącym bólem tłukło mu się w piersi, pan Michał jednak biegł i biegł, nie spuszczając z oka tajemniczych krzaków.

Pan Józef i Kunz biegli również.

— Widzą, naturalnie, że widzą — powtarzał, dysząc ciężko, pan Michał i nagle zatrzymał się.

Może o trzysta kroków przed nim, na samem dnie zworu, szedł niedźwiedź powolnym, ciężkim krokiem.

— A to ogromna bestya — mimowoli pomyślał pan Michał i, odetchnąwszy ciężko całą piersią, posunął się naprzód ciszej.

— Teraz już nie ujdzie — mówił sam do siebie — sęk w tem, w czyją stronę zawróci.

Rzeczywiście, koniec zworu był niedaleko i niedźwiedziowi pozostawało tylko jedno: albo iść przez Ostrówek, albo też wybrać się na górę po jednym z brzegów, to jest: spotkać się albo z panem Michałem, albo też z panem Józefem i Kunzem.

— Samo się przez się rozumie, że nie pójdzie do wsi. Kto wygra?

Niedźwiedź widocznie nie zauważył pogoni i szedł, nie przyspieszając kroku.

Pan Michał dognał go i szedł z nim prawie na równej linii.

Brzegi zworu, trochę niższe, ale takie same urwiste jak na początku, rozszerzały się w miarę zbliżania się ku wyjściu, a odległość między panem Michałem, a niedźwie-

dziem wynosiła już tylko ze dwieście kroków; w takiej samej odległości znajdował się niedźwiedź i od drugiego brzegu.

Pan Michał szedł równolegle z brzegiem, odszedłszy od niego na tyle, aby nie być spostrzeżonym przez niedźwiedzia.

Pan Józef i Kunz poszli za jego przykładem i również odeszli od brzegu; zdaje się jednak, że się spóźnili. W ruchach niedźwiedzia zdawał się przebijać widoczny niepokój. Od czasu do czasu starał i spoglądał w ich stronę.

— Sami sobie winni — pomyślał pan Michał i uśmiech zadowolenia, wbrew jego woli, przemknął mu się po licu.

Niedźwiedź znowu stanął i z obawą spoglądał w stronę pana Józefa i Kunza.

Pan Michał zamarł na miejscu i, prawie leżąc na śniegu, nie spuszczał z niego oczu.

Niedźwiedź postał z minutę, jakby namyślając się, i spojrzawszy raz jeszcze w ich stronę, tym samym cichym, ciężkim krokiem poszedł na pana Michała, wysunąwszy pysk naprzód.

Za chwilę powinni się byli spotkać.

(C. d. n.)

ŚPIEWKA.

Wspomnienie myśliwskie.

Trzeba było słyszeć naszą dzielną Śpiewkę, kiedy, goniąc po lesie lututowskim, dawała znak, w którem znajduje się miejscu w pościgu za zającem. Mawiał wówczas mój ojciec trzymając dubeltówkę na pogotowiu:

— To mi muzyka! Niech się wobec niej schowają wszystkie inne: prawdziwą rozkosz sprawia.

A Śpiewka, jakby po przez drzew gęstwinę słyszała to pochlebne o swoim głosie zdanie, coraz piękniej rozwijała myśliwską pieśń ogara, goniącego zwierzynę. Las rozbrzmiewał tą monotonną, ale dla ucha myśliwego bardzo wymowną melodyą. Gałęzie zlekka szumiały, niby akordy delikatne, a na ich tle rozlegał się donośny „sopran“ Śpiewki.“

Chwilami zapanowywała w tej pieśni ogarowej pauza: wtedy Śpiewka ślad zająca traciła; skoro jednak trop jego poczuła, znowu głos jej brzmiał jeszcze pełniej i radośniej.

Nie napróżno nosiła imię Śpiewki. Od lat kilku słynęła w okolicy ze swych zdolności wokalnych. Kto i kiedy nazwał tę sukę Śpiewką — niewiadomo. Ojciec mój nabył ją od sąsiada, a że umiał z psami, zwłaszcza gończymi, należycie się obchodzić Śpiewka przylgnęła do niego od razu. Gdziekolwiek się ruszył w pole, czy do gospodarstwa, Śpiewka nie odstępowała go nigdy. Sama nie puszczała się nigdzie dbając widocznie o reputacyę dobrej rasy, do której się słusznie zaliczała.

Arystokratyczne wszakże pochodzenie Śpiewki nie przeszkadzało jej spełniać niższych zajęć: w nocy stróżowała tak pilnie, szczekała tak zajadle, iż budziła zawsze ojca, który po głosie suki poznawał, czy złodziej jest w pobliżu. — Gdy ujadanie było bardzo silne — pamiętam — że ojciec brał strzelbę, wychodził na ganek i dawał ognia w górę. Odstraszało to złodziei tak skutecznie, iż nigdy u nas na wsi nie było wypadku kradzieży.

Zawdzięczaliśmy to naszej dobrej, przez wszystkich ulubionej Śpiewce.

Poczciwe zwierzę nie było wcale wymagające. Jadło strawę niewykwintną, mięsa nie oglądało prawie nigdy — zupa z kartofli i innych jarzyn stanowiła najważniejsze pożywienie Śpiewki i jej codziennych towarzyszy — kundlów.

Dniem lubiła sypiać w pokoju, nocą zaś biegała ustawicznie w różne strony po podwórzu, około stodół i w ogrodzie, od czasu do czasu naszczekując i porozumiewając się w ten sposób z resztą psiarni.

Trwało to lata całe. Odkąd zapamiętać mogę, Śpiewka odgrywała główną rolę w zakresie swoich obowiązków domowo myśliwskich i cieszyła się ogólną u nas sympatyą.

Miała też swoje przywileje, które ją wyróżniały z pośród innych psów: mogła bez obawy każdego czasu przychodzić do gabinetu mego ojca i kłaść się na skórze niedźwiedziej; kiedy zaś dokonywała tej czynności, była nader zadowolona, kręciła wesoło ogonem, patrzyła swemi rozumnemi oczami radośnie jakby pragnęła przez to wypowiedzieć tę błogość, której w tej chwili doznawała.

Ileż to razy, będąc dzieckiem, na tej skórze niedźwiedziej ze Śpiewką się bawiłem. Ciągnąłem ją za uszy, siadywałem na niej lub próbowałem, czy ma nos chłodny, chcąc się przekonać o stanie jej zdrowia.

Powtarzało się to ciągle przez długie miesiące, podczas których rosłem, a Śpiewka stawała się nieodłączną towarzyszką mych samotnych wycieczek do sąsiedniego lasu. Jej zawdzięczam, iż się zaprawiłem do strzelby. Mając lat kilkanaście przebiegałem już knieje, a przy mym boku pędziła zawsze ochocza do myśliwstwa Śpiewka.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy pewnego razu ojciec mój rankiem wszedł do pokoju, gdzie się uczyłem i w te odezwał się słowa:

— Weźmiesz strzelbę i pójdziesz ze mną do ogrodu.

Skoczyłem na równe nogi, zadowolony z polecenia, choć jednocześnie zaniepokojony tonem, jaki brzmiał w słowach ojcowskich: dźwięczał w nich smutek i dziwne rozdrażnienie. Nie pytałem wszakże o nic — tylko pobiegłem po strzelbę i wraz z ojcem wyszedłem do ogrodu.

Szliśmy czas jakiś w milczeniu. Nagle ojciec zwrócił się do mnie i rzekł:

— Dziś w nocy Śpiewkę pogryzł pies wściekły...

Wiadomość ta głębokie wywarła na mnie wrażenie; stanąłem, łzy zakręciły mi się w oczach i nie mogłem słowa przemówić.

— Trzeba będzie Śpiewkę zastrzelić — odezwał się ojciec. — Chłopi chcieli ją zabić drągami, ale nie pozwoliłem tego uczynić. Kazałem wziąć ją na łańcuch. poczekamy na objaw wścieklizny.

Słuchałem tych słów płacząc. Niewypowiedziany ból utkwił mi w piersi i żal jakiś gorzki bardzo i przejmujący.

Płakałem nad nieszczęściem, jakie spotkało Śpiewkę;

— Czy celnie strzelasz? — zapytał nagle ojciec.

Nie wiedząc jeszcze, do czego pytanie to zmierza, odrzekłem:

— Celnie, ojcze!

— Spróbujemy...

Staliśmy właśnie nad sadzawką w głębi ogrodu. Przez załzawione oczy widziałem wodę zarośniętą tatarakiem; z nad brzegów dość wysokich zwieszały się gałęzie wierzb płaczących, które mi się wówczas jeszcze smutniejszemi niż zwykle wydawały...

Po nad wodą odbywał się pościg jaskółek za robaczkami. Oświetlone słońcem, migotały one swemi skrzydłami, jak błyskawice.

— Pal do tej jaskółki! — zawołał ojciec, wskazując palcem na przelatującą nieopodal.

Nie namyślając się ani chwili, posłuszny strzeliłem.. Popłoch się wśród ptactwa od huku zrobił nie do opisania, a jaskółka ugodzona śmiertelnie spadła do wody.

— Dobrze! — odezwał się ojciec i zawrócił ku domowi.

Nie mogłem sobie zdać sprawy z tego wszystkiego. Wkrótce jednak zapomniałem o tem, zgnębiony myślą o biednej Śpiewce.

Tego dnia byłem nie swój, chodziłem milczący, unikając spotkania z kimkolwiek. Nazajutrz opanowała mnie żądza ujrzenia Śpiewki. Udałem się na podwórze W ogrodzeniu pomiędzy stodołami leżała uwiązana na łańcuchu: poczuła, żem przyszedł, bo podniosła głowę do góry, poruszyła się i spojrzała na mnie smutnym wzrokiem, jakby przewidywała, co ją czeka.

Ten wzrok utkwił mi w pamięci.

Pocieszałem się nadzieją, iż może pies, który Śpiewkę ugryzł, wściekły nie był — i myśl ta sprawiła mi wielką radość.

Niestety, nadzieja trwała nie długo. Objawy wścieklizny trzeciego dnia były już widoczne — nie pozostawało nic innego, tylko Śpiewkę zabić.

— Nie chcę, żeby to biedne zwierzę dłużej cierpiało — odezwał się ojciec — ty, Łukaszu, strzelasz celnie... mnie mogłaby ręka drgnąć ze wzruszenia...

Zrozumiałem teraz ową próbę strzału do jaskółki. Radbym był w tej chwili zaprotestować przeciwko rozkazowi ojca, ale widziałem, iż to by się na nic nie zdało...

Śpiewka toczyła już pianę i chwilami targała łańcuch. Chciałem jeszcze zawołać na nią, lecz głos uwiązł mi w gardle.

Wyczekałem więc tylko, kiedy się do mnie lewym bokiem zwróciła — i dałem ognia...

Śpiewka padła na wznak bez żadnego jęku, ale padając spojrzała na mnie okiem krwią zabiegłem...

I tego spojrzenia nie zapomnę nigdy...

Łukasz Doliwa.

Towarzystwo myśliwskie im. św. Huberta we Lwowie.

Ostatnie walne zgromadzenie tego Towarz., które odbyło się w sali kasyna miejskiego we Lwowie, zagaił prezes p. Godowski, dłuższem przemówieniem; podniósł w niem, iż nowa ustawa łowiecka, uchwalona przez sejm, która uzyskała już sankcję monarszą i wkrótce stanie się obowiązującą, wielce jest dla myśliwych uciążliwą. Szczególniej bardzo da się we znaki amatorom łowiectwa mieszkającym w mieście i zajętym przez cały tydzień po biurach, przepis jej nie pozwalający na polowanie w niedziele i święta. Ludzie więc pracy, po całotygodniowym znoju, nie będą mogli, jak dawniej, w niedziele i święta użyć świeżego powietrza i zapolować na zwierzynę. Wydział Tow. w tej sprawie wystosował petycję do ministeryum, udawał się do sejmu z prośbą o zmianę tego przepisu, ale starania jego były nadaremne. Komisya z 5 członków, wybrana przez Wydział, udała się do Namiestnictwa z prośbą, aby ono dokładnie określiło te święta, w które według nowej ustawy polować nie wolno. W dalszym ciągu skreślił mowca dzieje Towarzystwa w ubiegłym roku. Terytorya dzierżawione przez Tow. w roku zeszłym, prawie się nie zmieniły, oprócz Kleparowa, które wydzierżawiono za 102 złr., chociaż dotąd szło za 31 zł. Tak wysokiej sumy Tow. bez szkody dla siebie zapłacić nie mogło. Polowania kniejowe na drobną zwierzynę chybiły, natomiast powiodły się łowy w rewirach górskich, w czem główna zasługa członka Towarzystwa p. Piegłowskiego, gospodarza tych kniei. Kończąc swe przemówienie, oświadczył p. Godowski, iż wyboru na prezesa na rok przyszły przyjąć nie może.

Następnie sekretarz Tow. p. Horwath odczytał sprawozdanie za rok administracyjny 1896/97. Sprawozdanie to stwierdza, iż starania Towarzystwa, podjęte około rozmnoży kuropatw w rewirach przez Tow. dzierżawionych, pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem. Wynik tej rozmnoży jest, jak raporty dozorców i relacye członków Tow. świadczą, nadzwyczaj korzystny, albowiem prawie we wszystkich przez Towarzystwo dzierżawionych rewirach luźnych, po kilka stadek kuropatw napotykano; najwięcej ich utrzymało się na obszarze sołoneckim i porszniańskim (w pow. lwowskim), tak, że dziś już śmiało powiedzieć można, że tam będzie podostatkiem tej zwierzyny.

Wydział miał początkwo zamiar wyłapania kuropatw sieciami w celu ich przeziimowania, wysłuchawszy jednak opinii hodowców w kraju, zmienił to postanowienie, zarządzając karmienie ziarnem w czasie zimy.

Co się tyczy stanu zajęcy, to zaznaczyć należy, że mimo już przez rok drugi zarządzonych ograniczeń, bądźto przez zmniejszenie ilości polowań kniejowych, bądź też przez skrócenie czasu odstrzeliwania ich w rewirach luźnych, stan tej zwierzyny wcale się nie podniósł, o czem słaby nader wynik tak z polowań kniejowych, jakoteż i luźnych najlepiej poświadcza. Zresztą, smutna to wprawdzie pociecha, ale pomimo sprzyjającej pory wiosennej rozmnoża zajęcy i poza obrębem rewirów Tow. w tym roku dla łowiectwa wcale wydatną się nie okazała. Przeto przekazując przyszłemu Wydziałowi pieczę nad tak ważnym działem gospodarki łowieckiej, odnoszącej się do rozmnoży zajęcy, ustępujący Wydział zalecał sprowadzenie zajęcy i rozpuszczenie ich w celu rozmnożenia, a to tem bardziej, że mokra wiosna zaniku pierwszego rzutu obawiać się każe.

Gdy dnia 19. marca b. r. nowa dla naszego kraju przez sejm uchwalona ustawa uzyskała sankcyę cesarską, wobec której dla ludzi pracy wszelkiej kategoryi możność polowania w niedziele i święta uroczyste odebraną została, uchwalił Wydział okólnikiem zapytać członków Towarzystwa, czy wobec tych postanowień nadal do Towarzystwa należeć będą mogli, ale niestety na 66 członków zaledwie 26 raczyło potakująco odpowiedzieć, a trzech zgłosiło wystąpienie z końcem roku.

Oprócz tego wybrał Wydział komisyę, aby przedsięwziąć zmianę regulaminu głównego, a zastanawiając się nad poszczególnemi postanowieniami powołanej ustawy uprosić namiestnictwo o interpretacyę niektórych niejasnych określeń nowej ustawy. Komisya ta uchwaliła przedłożyć sprawę tę Walnemu Zgromadzeniu pod obrady.

W obszarach przez Towarzystwo dzierżawionych zaszły,

a może i zajdą jeszcze nieznaczne zmiany, a mianowicie: z powodu w tym roku już odbytych licytacyj polowań gminnych powiatu lwowskiego, przy których obszary Kleparowa z powodu wygórowanej ceny (102 zł.) odpadły, zaś obszary Prus dla odległego położenia i nieproduktywności licytować zaniechano.

Dla Sołonki i Malechowa wyznaczone zostały ponowne terminy niżej ceny wywołania i innych jeszcze graniczących z obszarami Tow gmin, które skoro cena akwizacyjna będzie przystępniejszą, będą mogły być nabyte również dla gmin powiatu żydaczowskiego „Nadiatycze i Ujście“, gdzie mimo uzyskanej deklaracyi, zgadzającej się na przedłużenie istniejącego kontraktu rozpisało starostwo w Żydaczowie licytacyę na 9. czerwca dla pierwszej, a na 7. lipca dla drugiej gminy, zwracając bez skutku prośby o przedłużenie, podając jako powód możność uzyskania wyższego czynszu wobec wzrastającej liczby miłośników łowiectwa.

Z polowań kniejowych odpadnie rewir Barańczyce i Chlewiska z końcem października br., które to knieje wraz z prawem polowania w ręce nowego dzierżawcy przechodzą.

Natomiast zadzierżawił Wydział rewiry górskie Klimiec i Smorze sumptem 100 zł. Dozór tam sprawuje leśniczy za wynagrodzeniem 100 zł., przytem ustanowiono strzałowe od rysia, jelenia, niedźwiedzia po 10 zł. na rzecz leśnych.

Dozór sprawowany przez p. Hohenbergera w Turce ustał z dniem 1. czerwca i został komu innemu za mniejszy ryczałt powierzony.

Przystępując do najbardziej gnębiącego i wszystkie dążności Towarzystwa uniweczającego żywiołu kłusownictwa, zaznacza Wydział, że w okolicach Stulska i Dąbrowy potworzyły się bandy kłusownicze, które z niesłychaną śmiałością polują w tych kniejach. Na doniesienie o takim stanie, podjął Wydział jak najenergiczniejszą akcję w tym kierunku, a mianowicie: udał się do Dyrekcyi dóbr fundacyjnych, krajowej komendy żandarmeryi, do posterunku żandarmeryi w Brodkach i Mikołajowie, do starostwa i sądu w Żydaczowie, wreszcie do galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego z prośbą o najrychlejsze stłumienie niebezpiecznego rozwoju kłusownictwa. Rzeczywiście poczyniono ku temu kroki i tak: Dyrektor fundacyi śp. hr. Skarbka p. Langie udał się osobiście na przeprowadzenie śledztwa, którego wynikiem było oddalenie gajowego Kuzyka w Stulsku i zarządzenie zmiany dotyczącego gajowego rewirowego; krajowa komenda żandarmeryi wydelegowała dla sprawdzenia istoty rzeczy komisyę, która niestety zanadto pobieżnie traktowała doniosłość faktów podanych; dochodzenia sądowe są w toku, a Wydział Towarzystwa łowieckiego wniósł prośbę do Namiestnictwa celem wyjednania wydania surowych dyrektyw do wszystkich starostw, a specjalnie do starostwa żydaczowskiego.

Towarzystwo liczyło członków 70. Z tych 7 otrzymało urlopy roczne, a trzech zgłosiło z końcem roku swe wystąpienie. Biuro załatwiło 80 spraw z władzami; oprócz korespondecyi mniejszej wagi, wysłało także 4 cyrkularze.

„Wyczerpawszy zupełnie ważniejszy materyał — kończy Wydział — i zamykając rok myśliwski 1896/7 miło nam jest zaznaczyć, że uczyniliśmy zadość na się wziętym obowiązkom, tak w kierunku uiszczenia tenut dzierżawnych i opłaty dozorców jakoteż zestawienia rachunków o czem świadczy pozostawiony zapas gotówki 480 zł. 80 ct. w. a.“

Sprawozdanie to przyjęto bez dyskusyi do wiadomości i udzielono ustępującemu Wydziałowi absolutoryum. Następnie kierownictwo obrad powierzono p. Rudzińskiemu, który na sekretarza powołał dra Krobickiego. Po przyjęciu protokołu z ostatniego walnego zgromadzenia, rozwinęła się bardzo gorąca dyskusya nad interpretacyą statutu i nad sprawami Towarzystwa. Głównie ścierały się zdania między p. Szczawińskim dotychczasowym wiceprezesem Tow. i p. Sewerynem Krogulskim. Burzliwa ta nieco dyskusya zakończyła się pokojowo przyjęciem kilku bardzo racyonalnych wniosków p. Karola Tuszyńskiego, dotyczących przyszłej gospodarki Towarzystwa. Wnioski te przekazano przyszłemu Wydziałowi do załatwienia. Będą one służyły mu za dyrektywę w przyszłem działaniu.

Po zakończeniu dyskusyi przystąpiono do głosowania. Prezesem Towarzystwa wybrano znaczną większością p. Seweryna Krogulskiego, wiceprezesem dra Aleksandra Małaczyńskiego, skarbnikiem ponownie jednogłośnie p. Alfreda Dzikowskiego, sekretarzem ponownie jednogłośnie p. Władysława Horwatha.

W skład Wydziału weszli pp.: dr. Tadeusz Krobicki, Stanisław Maniecki, Wł. Ostrowski, Wład. Godowski, Tadeusz Krumpholtz, Karol Tuszyński, prof. dr. J. Siemiradzki, Fr. Kinelski, Adam Szczawiński, Zygmunt Duczyński i Stan. Piegłowski; jako zastępcy pp.: porucznik Bastgen, Ant. Ostrowski, Kornel Dyduszyński, Józef Kostkiewicz, R. Doms, M. Wierzbicki, M. Hillich, Adam Niedźwiedzki, Józef Frenkel, St. Weyda i Józef Zwolski.

W dalszym ciągu uchwalono preliminarz dochodów i rozchodów na r. 1897/98, który się przedstawia jak następuje:

Dochody: Z udziału członków: W rewirach luźnych 900 zł., w Naddniestrzu 200 zł., w Turce 1000 zł., w Rozwadowie 360 zł, w Stulsku 360 zł., w Dąbrowie 200 zł., w rewirach górskich 200 zł.; przychody nadzwyczajne 200 zł., razem 3420 zł.

Rozchody: Dzierżawa polowań podlwowskich: Kulparków 26·5 zł., Sokolniki 19·20 zł., Nagórzany 8·30 zł., Porszna 55 zł., Sołonka 80 zł., Sroki 13·50 zł., Zniesienie 50 zł, Żyrawka 20·10 zł., Laszki 11·50 zł., Zagórze 26 zł., Kościejów 21 zł., Pustomyty 7 zł., Sieciechów 19·20 zł., Koszelów 5·40 zł., Doroszów wielki 11 zł., Doroszów mały 11 zł., Nadycze 30 zł.; dozory polowań podlwowskich 150 zł.; dzierżawa polowań naddniestrzańskich: Stulsko 80 zł., Rozwadów 19 zł., Weryń 15 zł., Uście i Nadiatycze 150 zł., Wola wielka 10·10 zł.; dozory polowań naddniestrzańskich 120 zł.; dzierżawa polowań w dobrach fundacyi skarbkowskiej 600 zł.; dzierżawa Turki 600 zł.; dozory Skarbkowczyzny 350 zł.; dozory w Turce 300 zł; dzierżawa domu w Turce 120 zł., zakupno karmy 250 zł.; zajęcy 200 zł., kuropatw 100 zł.; tryzuby i lizawki 50 zł., wydatki nieprzewidziane 100 zł., razem 3628 zł. 80 ct.

Ustępującemu prezesowi i wiceprezesowi, jakoteż skarbnikowi i sekretarzowi wyrażono za ich dodatnią dla Towarzystwa działalność podziękowanie przez powstanie z miejsc.

Nowowybrany prezes p. Krogulski w dłuższem przemówieniu, pełnem poetyckiego polotu, podziękował zgromadzonym za wybór i nakreślił program swego działania.

Na tem obrady zakończono i przewodniczący zamknął posiedzenie.

Bratniemu Towarzystwu zasyłamy serdeczne życzenia staropolskiem „Szczęść Boże!“ Niech pod nowymi rządami rozwija się jak najpomyślniej i niech krzewi szlachetną pasyę łowiecką. *Vivat, crescat, floreat!*

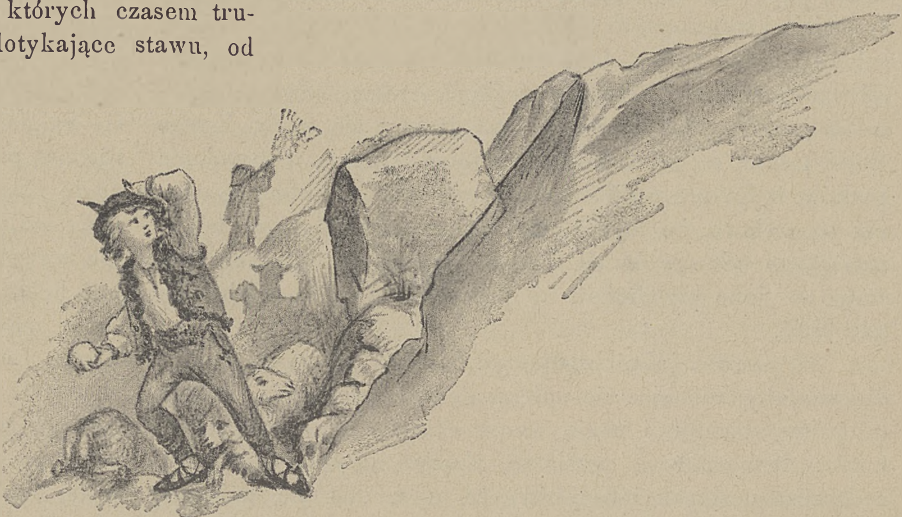


PTACTWO BŁOTNE.



Pogadanka.

Witajcie kszyki, bekasy, dubelty i wszystkie wasze odmiany... Witajcie długodziuby, pokrewne słonce, tej pierwiosnce myśliwego!... Kiedy myśliwy znudzony polowaniem na kaczki, których czasem trudno znaleźć, wysiądzie z łodzi i wejdzie na błota, dotykające stawu, od razu uczuwa nowy zapał. On wprawdzie unarza się w moczarach, często zapadając się w grzązkim terenie dobrze się namęczy zanim nogę z moczaru wyciągnie, ale za to, gdzie jest ptactwo błotne, użyje na strzałach. Tam, gdzie są kszyki, nie trudno zrobić 50 strzałów w przeciągu kilku godzin. Więc chociaż człowiek się zmęczy, ale zażyje prawdziwej uciechy.



Mając dobrze ułożonego psa na ptactwo błotne, polowanie jest tem przyjemniejsze, że myśliwego bawi i cieszy zachowanie się wyżła O ile na kuropatwy lub przepiórki lubię psa zagonnego, to jest takiego, który na 500 kroków składa w pełnym galopie, a zawietrzywszy, zaczyna chodzić powoli, machając żywo ogonem, a w końcu ogląda się za swym panem i czeka jego przybycia, o tyle na ptactwo błotne chcę iść z psem, który wolno chodzi, od nogi się nie oddala i lubi mokry teren. Ten stanowczo jest lepszy. Bo jeżeli pies jest zagonnym, to pędząc po mokrej łące pełnej wody, bryzga nią, chlapie głośno i płoszy kszyki na daleki dystans. On, jeżeli jest dobrze ułożony, powinien chodzić wolno, ostrożnie i być niejako w ciągłym kontakcie ze swym panem. Powinien pamiętać o tem, że na takim mokrym terenie, myśliwy nie może tak szybko podbiedz do niego, jak na polach, gdzie są kuropatwy i przepiórki.

Zastanawiając się nad tem, należy na to zwrócić uwagę, że ten pies wietrząc za ptactwem błotnem ma bardzo lekką pracę. Przedewszystkiem tam, gdzie to ptactwo bywa, znachodzi się zawsze w dużej ilości. Jeżeli nosem zawęszy jedną sztukę, to napewno liczyć można, że będzie ich więcej. Za kuropatwą lub przepiórką śledząc, trzeba mijać ściernie bez zatrzymywania się na nich, a tylko przeszukiwać kartofle, jakieś kawałeczki prosa i t. p. Na błotach natomiast co krok, to może być dubelt lub kszyk. Ponadto ptactwo błotne ma nierównie silniejszy wiatr, a zwłaszcza dubelt. Tego lada jaki piesek zawietrzy. Chodzi tylko o to, aby umiał go umiejętnie wystawić, a także szalonymi skokami zdaleka nie spłoszył.

A co to jest za przyjemność napotkać dubelty, które nierzadko na łąkę całemi masami zapadną. Pies spokojny co chwila ściąga się już zdaleka, a strzelec spieszyć się musi z wyjmowaniem pustych naboi i zakładaniem pełnych. Do dubelta, jak wiadomo, strzał łatwy, bo on największy z ptaków błotnych ma lot ciężki i równy. Dubelt gzygzaków nie robi, lecz ciągnie jak przepiórka. Ale o jednem należy pamiętać, że te ptaki, jeżeli właśnie gromadnie na jakąś łąkę zapadną, to siedzą twardo, a nierzadko, jeżeli otawa w tem miejscu jest wysoka na piechotę lubią wyciekać. Pod tym względem najzabawniejszym jest bekas. On pomimo swego dosyć barwnego upierzenia jest nadzwyczaj w ukrywaniu się w trawie zręcznym. Tak się przytuli i skurczy, że bardzo często myśliwy podchodzi do psa, który twardo stoi i popychając go nogą, rozgląda się, coby tu być mogło. Nagle, tuż z pod nosa psa, a niemal z pod nóg myśliwego wyrywa się ptaszyna, a skrzeknąwszy swe „Ih“, uchodzi bez strzału, bo to tak niespodziewane jej zerwanie się elektryzuje strzelca.

A teraz zakomunikować muszę moje spostrzeżenia, gdzie to ptactwo szukać należy. Otóż przedewszystkiem na łąkach takich, które nasiąknięte są tzw. rdzawką, nie ma czego szukać. Tam długodziubych nie będzie. Chybaby bocian, ten wielki szkodnik, co to z najpoważniejszą miną udając uosobioną cnotę, kradnie młode ptaki pod pretekstem łowienia żab i węży, tam znajdować się może, ale i ten niechętnie. Na takie łąki nie radzę chodzić z fuzyą. Natomiast na łąkach, które czasami podlegają zalewom, gdzie trochę namułów się znajduje, tam ptactwo błotne lubi przebywać. Lecz o ile kszyki i bekasy lubią łąki błotne i moczary, o tyle dubelty wolą przebywać na suchszym terenie, byle miały tu i ówdzie jakieś źródliska, lub moczydełka. Nie idzie zatem, aby było wykluczonem spotykanie na błotach dubeltów, ale stanowczo wolą one mniej mokre łąki, aniżeli kszyki. Te mają uciechę brodzić po wodzie, chlapać się w niej i przeskakiwać z kępy traw na inną kępę.

Gawędząc o tych ptakach, trudno nie pomówić o strzale na nie. Przedewszystkiem, kto chce ptactwo błotne dobrze strzelać, powinien wyrobić w sobie zimną krew i nie gorączkować się. Należy nie zapominać o tem, że te ptaki, zrywają się blizko, zwłaszcza jeżeli dzień jest pogodny i słoneczny i nigdy daleko nie ciągną. Że zaś strzela się do nich drobnym śrutem, więc przypuszczać można, że w odległości kroków 25—30 średnica strzału 1 metrowa, jest tak gęstą, że nawet mały czarnodziub bekas musi być trafiony. A więc trochę wypuścić go! Niech on biedak na moment przed swym zgonem jeszcze lotu swych skrzydeł użyje. A jakkolwiek zdaje się, że taki ptak bardzo szybko leci, to jednakże śrut wypchany z lufy siłą prochu, jest nierównie szybszy i on go w mgnieniu oka dopędzi. Naturalnie, nie mówię tego, aby koniecznie spaźniać się ze strzałem, kunktatorować, lecz z drugiej strony nie należy się gorączkować, strzelać na wiatr i robić bezpotrzebnie dużo hałasu. Zwłaszcza kszyk i polowanie na niego, wymaga wielkiego spokoju. Ten jego

gzygzak, to kierowanie lotu ciągle pod ostrym kątem może drażnić i denerwować. Lecz dowiedzioną jest rzeczą, że strzał w trzecim gzygzaku jest pewniejszym od strzału robionego w pierwszej chwili jego wzlotu. On zrywa się nadzwyczaj szybko, a zapada powoli i robiąc po drodze kunsztowne gzygzaki, nie oddala się szybko.

Są wprawdzie myśliwi, którzy nie celując strzelają do kszyka i o zakład spuszczają go z całą precyzyą, ale do tego dojść można wielką wprawą. Ci jednakże myśliwi w knieji bardzo często pudłują, bo przyzwyczajeni do niecelowania, nie umieją brać zwierza na muszkę, wytrzymać dobrze i chybiają strzelając grubym śrutem, który — naturalna rzecz — tak gęsto jak śrut drobny nie trafia. Z tego dojść można do przekonania, że sama wprawa w strzelaniu ptaków w lot nie robi strzelca myśliwym w całem znaczeniu tego słowa, bo myśliwy zdaje egzamin i zdobywa miano myśliwego tylko w knieji. Lecz wracając do ptactwa błotnego — jako przedmiotu tej pogadanki wypada dalej o nich gawędzić.

W pierwszej linii zaznaczyć należy, że te wszystkie długodziuby, różniące się upierzeniem i wielkością, należą do jednej rodziny i mają swoje cechy charakterystyczne. i tak: Wszystkie są przelotne, chociaż zdarza się często, zwłaszcza u słonek i kszyków, że tu u nas się gnieżdżą i wylęgują młode. Lecz za podstawę przyjąć należy, że one są przelotnemi. Z wiosną tylko jedna słonka z długodziubów pojawia się u nas, że tak powiem, gromadnie, gdyż w swym przelocie ku północy zatrzymuje się tu dłużej. Natomiast inne jej pokrewne plemiona ciągnąc z wiosną w zimniejsze okolice, przeciągają nad nami tak nieznacznie i niespostrzeżenie, że o tej ich wędrówce niemal nic nie wiemy. One ciągną gdzieś na wielkie przestrzenie łąk cicho bez zatrzymania się i tam dopóty pozostają, dopokąd ich młode nie są zdolne do odlotu i do podróży na południe. Natenczas następuje wędrówka tych koczowniczych plemion ptasich, co za tem idzie, rozpoczynają się łowy na to ptactwo.

Lecz długo to nie trwa, bo z chwilą, kiedy zaczyna być chłodno, a szczególniej, kiedy noce są zimne, zabierają się najpierw dubelty. Jak niespostrzeżenie nadleciały, tak również niespostrzeżenie wynoszą się od nas i ciągną tam, gdzie zimno im dokuczać nie może. Więcej wytrwałym na takie zmiany temperatury jest kszyk, bo tego chłodne noce nie wypędzają od nas tak rychło. Najwytrzymalszym zaś jest bekas, bo ten uchodzi dopiero wtedy, kiedy pierwszy śnieg spadnie, lub przynajmniej silne przymrozki mu dokuczą. Lecz wtenczas na nich polować nie warto, bo samo chodzenie po przymarzniętych moczarach jest ciężkie i przykre, ale co gorsza, bekas jest wtedy bardzo ostrożny i chrupanie po słabo zamarzniętym terenie pomaga mu bardzo w tej ostrożności.

Tymczasem, zanim to nastąpi, dalej na błota!... Pracy jest trochę, ale przyjemności nierównie więcej.

K. Kozierowski



Sprawozdanie pp. delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego.

Czercze w pow. jarosławskim.

W dobrach Wiązownica, obejmujących około 30.000 morgów, własność ks. Witołda Czartoryskiego, który sam jest myśliwym, polowania odbywają się 3 do 4 razy co roku, na dziki zaś podczas trwania śniegów. Lisy zawsze się tępi. W rewirach dóbr wiązownickich znajdują się: sarny, zające i dziki, pierwszych i drugich stan liczny. Nadzór leśny liczny, o zwierzynę troskliwy i niszczy pilnie szkodniki. Na gruntach lichych i mokrych zając jest mniej liczny. Sarny niszczą wszelkie kultury.

Jan Ligman.

* * *

Rudki.

(Sprawozdanie za czas od $^1|_1$ do $^1|_6$ 1897).

W dobrach Michałowice, obejmujących 300 morg., własność p. Albina Rayskiego, który sam myśliwym nie jest, polowania nie odbywają się regularnie. Stan zwierzyny bardzo lichy, sarna i zając czasem tylko widziane.

W majątku Wistowice, obejmującym 50 morgów lasu, własność p. Rayskiego, nie ma prawie żadnej zwierzyny. Polowania odbywają się dorywczo, bez żadnego programu.

W majątku Koniuszki, obejmującym 1000 morgów, własność p. Lewickiego, który sam myśliwym nie jest, odbywają się również polowania dorywczo. Stan zwierzyny nieliczny. Są zające i sarny, czasem pojawią się dziki, dość kaczek, dubeltów i kszyków.

W majątku Hoszany, obejmującym 800 morgów, własność p. Stefana Janki, który jest sam myśliwym, polowanie odbywa się regularnie raz w rok, na których zwykle pada 5 rogaczy, koło 50 zajęcy i 20 lisów. Ostatnia ta cyfra jest absolutnie za wielką i świadczy, iż straż leśna, dość liczna, nie tępi tak pilnie, jak powinna, szkodników. W rewirach hoszańskich znajdujemy sarny, zające i lisy.

W rewirach majątku Dibaniowce, obejmującego 1000 morgów, własność bar. Brunickiego, myśliwego, znajdują się sarny, zające i lisy. Polowania wolne.

W majątku Podhajczyki (1000 morgów), Jaremków (400 morgów), Jatwięgi (500 morgów), własność Andrzeja hr. Fredry, który sam jest myśliwym, znajdują się dość licznie sarny, zające i lisy. Polowania odbywają się raz w rok.

W majątku Beńkowa Wisznia, obejmującym 1700 morgów, własność Andrzeja hr. Fredry, znajdują się sarny (do 100), zające, lisy i bażanty (do 20 sztuk). Polowanie odbywa się regularnie raz w rok. W roku 1896/97 padło w tym majątku: rogaczy 18, zajęcy 68, słonek 5; zwierzyny szkodliwej: lisów 14, psów 10, kotów 2, jastrzębi, wron, srok 18. *Andrzej hr. Fredro.*

* * *

Ossowce w pow. buczackim.

(Sprawozdanie z pierwszego półrocza 1897 r.)

W majątku Ossowce, obejmującym 250 morgów lasu i około 3000 morgów pola razem z wynajętem polowa-

niem, własność Aleksandra hr. Potockiego, myśliwego, znajdują się zające, sarny i lisy. Szkodniki tępione są przy pomocy puhacza. Polowanie odbywa się raz na rok na śniegu. W zeszłym roku na polowaniu, odbytem w grudniu, ubito 170 zajęcy, 2 rogacze i lisa.

W majątku Petlikowce stare, obejmującym 350 morgów lasu i około 3000 morgów pola z wynajętem polowaniem na polach włościańskich, własność Juliusza hr. Korytowskiego, myśliwego, znajdują się zające, sarny, lisy. Szkodniki bywają pilnie tępione. Polowanie odbywa się raz na rok. W zeszłym roku polowano na śniegu. Ubito kilka rogaczy i 180 zajęcy.

W majątku Przewłoka, obejmującym kilkadziesiąt morgów krzaków i około 3000 morgów pola z wynajętem polowaniem, własność p. Ludwika Szawłowskiego, myśliwego, znajdujemy zające, sarny, lisy i bażanty. Polowanie w krzakach odbywa się parę razy do roku. Ponieważ lasu większego nie ma, polowania odbywają się w krzakach i bażantarni i są zupełnie ładne.

Oprócz tych trzech majątków, powyżej przytoczonych, nie ma nigdzie indziej racyonalnej gospodarki łowieckiej, poluje kto chce, szkodników nikt nie tępi i o polowanie zupełnie nie dba. Podaję sprawozdanie tylko z połowy powiatu, gdyż druga należy do p. Artura Zaremby Cieleckiego z Porchowa.

Aleksander hr. Potocki.

* * *

Brykula nowa (w pow. trembowelskim) w lipcu.

(Sprawozdanie z pierwszej połowy r. 1897).

W majątkach Chmielówka (1000 morgów), Brykula nowa (1120 morgów) i Brykula stara (840 morgów), dzierżawi w bieżącym roku polowanie p. Bolesław Siedlecki. W majątkach tych zajęcy w tym roku okazuje się bardzo wiele. Kuropatw pokazało się zaledwie kilka sztuk, a to dla tego, że nie ma tu lasów, a tem samem i straży leśnej, któraby dozorowała. W każdej z powyższych gmin, w których wydzierżawiono polowanie jest dozorca, upoważniony do noszenia broni i niszczy szkodniki, jak psy, jastrzębie itp. Polowania odbywają się w miarę otwierania się prawa strzelania którego gatunku zwierzyny. Przepisów ustawy łowieckiej przestrzega się ostro.

W majątkach Pantalicha (2000 morg.), Zazdrość (1500 morgów), własność hr. Gołuchowskiego, lasów nie ma, natomiast są tu bardzo dobre polowania błotne, a późniejszą porą polowania na dropie, w zimie zaś na lisy. Polowania regularnie tu się nie odbywają. Kłusownicy wyrządzają wielką szkodę, a ponieważ właściciel sam nie jest myśliwym, przeto dozór nie jest dobry i na wielu punktach chroma.

Majątek Darachów, obejmujący 2500 morgów, własność p. Somersteina, który myśliwym nie jest, nie posiada prawie żadnej zwierzyny, chociaż obszar lasu wynosi 1000 morgów. Dozorcy nie ma żadnego. Właściciel pozwala każdemu polować, kiedy kto chce, przeto tak w lesie jak i na polu nie ma żadnej zwierzyny, chyba, że kiedy jaka się zabłąka.

Majątek Mogilnica (3000 morgów), własność hr. Starzeńskiego, posiada 400 morgów lasu. Właściciel sam zawołany myśliwy, przestrzega surowo przepisów łowieckich, ma też w swoich lasach i na polach mnóstwo zwierzyny. Polowania odbywają się co dwa lata z nader pomyślnym rezultatem. Stan obecny sarn liczy się na setki sztuk.

Majątek Romanówka (1700 morgów), własność p. Józefa Bogdanowicza. Lasów tu nie ma, a ponieważ właściciel nie jest myśliwym, przeto kłusownicy w tym majątku wielce się rozpanoszyli i niszczą wszystko.

Mieszkam w okolicy, gdzie lasy są oddalone z wszystkich stron o 2 mile, przeto słonki chcąc się dostać z jednego lasu do drugiego rok rocznie zapadały w przelocie w moich sadkach lub łozinie. W tym roku zaś ani jedna nie zapadła. Co roku podczas ciągu wiosennego strzelałem zwykle 10 do 15 sztuk, w bieżącym roku zaś ani jednej sztuki nie zastrzeliłem, a nawet nie widziałem. Te same skargi słyszałem także od sąsiadów.

Na powiat trembowelski jest nas dwóch delegatów. Mnie ten zaszczyt spotkał i p. Błażyńskiego. Stosownie do regulaminu wkrótce się zjedziemy i omówimy między sobą, jak zająć się mamy sprawami łowieckiemi w naszym powiecie. *Bolesław Siedlecki.*

KORESPONDENCYE.

Kotowania w lipcu 1897.

(Le contacte de l'epidermes).

W pielgrzymce naszej do jasnego prawdy słońca, przeróżne człeka spotykają przyjemności, a kto na dzierżawionym jeździ koniku, zaznaje od czasu do czasu jeszcze jednej specyalnej — w porze Sobótkowej — około św. Jana.

Specyał ten porównywany ze spaleniem tlenu przez się jeszcze tak strasznym, wszak *varietas delectat* — a prócz tego wszystko doznaje przymusowego odświeżenia i pozbywa się zapomnienia pyłów. Zbawczego wpływu tego zażyłem w tym roku do syta przeprawiwszy się z całym moim archaicznym taborem po nowych szlakach nadniestrzańskiego stepu do dalekiego ustronia, gdzie mi los kazał rozbić na nowo doczesne namioty. A gdy już spokojnie odetchnąłem w nowej sadybie, zabrałem się do uporządkowania strychowych archiwów i teraz wpadła mi w rękę zapomniana notatka o tyle ciekawa, że jej treścią pragnę się podzielić z łaskawym czytelnikiem w porze ogórkowego sezonu i zawieszenia myśliwskiej broni.

Opisany epizod i towarzyszące mu okoliczności zniewoliły mię dodać kilka słów co do charakteru dostrzeżonego faktu, jednak częstokroć niewyraźne są głoski natury, ztąd na skromnych podstawach oparty domysł, nieśmiałą ręką nakreślony nagłówek tej notatki.

Lat temu dwanaście, dnia 7. czerwca, o 8-mej godzinie rano znalazłem się na leśniczówce w Kołodrubach. Poprzedniej nocy spadł rzęsisty deszcz, jednak niebo nie wróżyło pogody, słońce przypiekało po afrykańsku, pomimo wczesnej jeszcze pory, a w parnej atmosferze zaciszy leśnej uwijały się krocie zjadliwych owadów. Szukając leśniczego, który znajdował się w pasiece niedaleko domu, szedłem pomiędzy budynki gospodarskie — w tem pod drewutnią usłysza-

łem z wnętrza pochodzące miaukanie kota. Nie był to głos trwogi, ani złości, ale raczej miękkie tony jakieś *sui generis* erotycznej zwrotki, coś podobnego do owych uprzykszonych apelów nocnych, z którymi się doskonale znamy. Głos przycichał, to znów się wzmacniał — odurzające zapachy wyziewały klomby jaśminów otaczających drewniki, mieszały się z balsamami tuż stojącej świerczyny — było za wiele woni, pary — jakaś przygniatająca, osłabiająca atmosfera odpowiednia może kotom, płazom, storczykom i begoniom, głaskała me nerwy nudnym wyziewem. Pomiędzy dylami ścian drewnika zamkniętego było szpar aż nadto, aby można wygodnie wglądać do środka, a gdy to uczyniłem kierując się za głosem kota, przedstawił mi się widok niezwykły. Mniej więcej w środku pustego drewnika i na kupie dawnych trzasek i trzcin rozciągał się w postawie na pół siedzącej na pół leżącej kot zupełnie wyrośnięty, tylna część ciała siedziała grzbietem do góry, przód zaś wykręcony na bok taczał się po trzaskach.

W okół ciała, koło mniej więcej w połowie jego długości, widniały 3 obręcze zwoju; rącza, wybitna szachownica na skórze nie pozostawiała wątpliwości, że był to całkiem zwykły zaskroniec. Pierścienie zwiększając się i malejąc na swym promieniu wskazywały, że wąż w ruchu dość szybkim ślizgał się swem ciałem, chwilowo pokazywała się główka, to znów gineła pod ciałem kota. Gdy tylko wglądnąłem, miaukanie koła ustało, jednak zachowanie się jego nie zdradzało wcale, aby mnie dostrzegł, zwijające się pierścienie rącze sprawiały mu widocznie jakieś uczucie przyjemne, wyginał on ciałem w sposób łagodny, słaniał się na boki w rozmaitych roskosznych pozach, na jaki tylko kot zdobyć się może, ułatwiając widocznie skręcanie się węża w rozmaitych kierunkach w poprzek swego ciała. Nie potrzebuję dodawać, że nie był to wcale w złych zamiarach napad węża — bezbronne to i niewinne stworzenie nie miałoby żadnych szans powodzenia w zetknięciu nieprzyjacielskiem z takim jak kot drapieżnikiem, przeciwnie było to zbliżenie dwóch daleko od siebie stojących organizmów bez żadnych złych zamiarów, zbliżenie najwidoczniej z obu stron ułatwione, bo wywołujące jakieś uczucia rozkoszne, na co wskazywało zachowanie się obu organizmów, to jakieś zbłąkanie natury na bezdrożach dziedziny, której tajemniczego pochodzenia, wiedza nasza w zupełności odkryć nie zdołała. Napatrzywszy się do woli, bo z 5 minut tej scenie wywołującej jakieś chorobliwe wrażenie, odskoczyłem raptownym ruchem od ścian drewnika. Zaszeleściały bujne chwasty i zarośla tuż pod budynkiem, a za chwilę prowadziłem już z pasieki leśniczego p. Wiśniowskiego, aby był świadkiem rzeczy niezwykłej. Jednak było już *post festum* — kot siedział już na płatwi i mróżąc ślepiami robił łapkami zwykłą swą toaletę — z węża i śladu nie zostało.

Jak mi objaśnił p. Wiśniowski, aktorką tego epizodu była dwuletnia kotka, której przed dwoma tygodniami potopiono kocięta -- co zacz był zaskroniec — tego nie wiem.

Władysław Spausta.

Nazurna, w sierpniu.

Deszcze, ulewy, oberwania chmur, grady i powodzie, oto najważniejsze wrażenia odniesione podczas tegorocznego lata na Pokuciu — oto treść naszych gawęd przy spotkaniu z sąsiadami — oto zmora, wywołująca westchnienia z piersi gospodarzy i zasępiająca oblicza wylęgłych z miasta letników. Słyszałem dawniej mówiących „że deszczyk złoto z nieba niesie“, ale ja już wolę nie widzieć ani tego deszczyku, ani tego spadającego złota, bom się tego roku napatrzył jak ten poczciwy deszczyk do reszty wypłukiwał złoto z kieszeni naszych gospodarzy. Powiadam wam tyle dżdżu na nas nieba spuściły, iż raz przyszło mi na myśl, że gdybym tę wszystką wodę wlał do olbrzymiej kadzi i wrzucił do niej wszystkich 400 milionów Chińczyków to jeszczeby na powierzchni nie było widać ani jednego warkocza! Dużo się mówi i pisze o tem tradycyjnem, a nie zawsze uzasadnionem narzekaniu naszych gospodarzy, a ja sądzę, że oni jeszcze za mało narzekają, bo to prawdziwi męczennicy swojego zawodu. Długie lata nie mieli „ceny“, teraz mają „cenę“ no i... nic więcej. Cena, jak wiadomo, jest pojęciem abstrakcyjnem i oznacza miarę wartości, ba! kiedy niema co mierzyć...

A cóż myśliwi? Ci, gdyby byli tylko myśliwymi mieliby niezawodnie doskonałe humory, bo na błotach polowanie nadzwyczaj piękne. Po opadnięciu wody rozsypała się długodzióba rzesza pomiędzy zgniłemi kopicami siana w pogoni za żerem w tym roku bardzo obfitym. Na łąkach od lat kilku zupełnie suchych teraz wszędzie znaleść można kszyki Pierwsze dubelty, choć tylko w skąpej liczbie, znaleźliśmy 26. lipca na łąkach w Orelcu. Kaczek tak wiele, jak dawno nie pamiętam, powódź nie wyrządziła szkody w lęgu, bo zastała już spore kaczęta. Za to przepiórek — o ile dotychczas zbadać mogłem — będzie mało, może mniej niż w roku zeszłym, a o kuropatwach niema co i pisać, bo wszyscy wiemy jak źle pod tym względem u nas tembardziej więc wdzięczni jesteśmy galicyjskiemu Towarzystwu łowieckiemu za akcyę podjętą w celu rozmnoży kuropatw. Na zimowe polowanie mniej wesołe horoskopy, bo zwierzostany niezawodnie wiele od deszczów i powodzi ucierpiały, ale o tem... potem.

Leopold Łysakowski.

Brykula nowa w lipcu.

(Podchodzenie żórawi. — Podchodzenie dropi. — Nowa pułapka na kaczki. — Kłusownicy.)

Chcę się podzielić z czytelnikami *Łowca* ze sposobem, w jaki podchodzę żórawie w porze nocnej. Opatrzywszy pod wieczór, gdzie żórawie zamyślają nocować, a było to w ostatnich dniach kwietnia br., gdy się już dobrze ściemniło, wziąłem trzech ludzi z wielkiemi pochodniami zapalonemi. Ludzie zwolna, krok za krokiem, posuwali się ku żórawiom, ja zaś w towarzystwie dwóch jeszcze myśliwych podchodziłem pod żórawie z przeciwnej strony. Żórawie całą swą uwagę zwracały na zbliżające się światło, my zaś tymczasem posunęli się ku nim na odległość 80 do 100 kroków. W tem odezwał się przeraźliwy głos jednego z żórawi. Był to niejako sygnał dla innych śpiących, iż grozi niebezpieczeństwo. Na głos ten wszystkie, a było ich tysiące, zerwały się do lotu. My w tę ciemną chmurę ciał żórawich daliśmy 6 strzałów. Z powodu ciemności nie szukaliśmy zabitych żórawi zaraz, lecz uczyniliśmy to dopiero na drugi dzień rano i znaleźliśmy pięć sztuk zabitych, a później ludzie opowiadali, iż znajdowali nieżywe żórawie po polach, niedojedzone przez lisy. Były to widocznie te żórawie, które ranione, zdołały się jeszcze podnieść do lotu, ale później, ulegając ranom, padły nieżywe.

Spróbuję w tym roku podchodzić w ten sposób dropie, a mam ich co roku stadka od 10 do 15 i 18 sztuk w porze jesiennej po rzepakach lub gorczycach.

Od lat kilku praktykujemy taką pułapkę na kaczki

dzikie podczas ciągu jesiennego. Mając u siebie na stawie masę rząski, zbieram tego dobry kosz, zabieram ze sobą na stanowisko podczas ciągu na jezioro, obrośnięte w około szuwarem, nie głębokie, z małem zwierciadłem wody we środku. Zanim kaczki zaczną ciągnąć, wnosi się rząskę na środek wody i wysypuje się ją tam. Rząska ta, gdy nie ma falowania, trzyma się mniej więcej kupki i zajmuje przestrzeń kilku metrów kwadratowych. Gdy stadko kaczek zapada, nie mając na całem jeziorze pożywienia, wpada na tę pułapkę, a wtedy, z budek, urządzonych po kępach, padają strzały do żerujących kaczek, a potem do lecących, tak, że nieraz od godz. 8 do 9 wieczorem padnie 30 do 40 sztuk. Ranne ciągi już się nie udają i jak padnie 5 sztuk na wszystkich jeziorach, to już wśród myśliwych ogromna radość.

Bardzo wskazanem byłoby, aby szanowne galicyjskie Towarzystwo łowieckie wystosowało do wszystkich starostw prośbę, by one kłusowników ostro karały*), a nie tak, jak się dziś praktykuje, że kłusownicy, nawet na gorącym uczynku złapani, uchodzą bezkarnie. Wprawdzie starostwo prowadzi śledztwo, idą termina za terminami, ale cała sprawa kończy się na niczem, kłusowników kara nie spotyka i dalej prowadzą swój bezecny proceder.

Bolesław Siedlecki.

Radłów w lipcu.

[Stan zwierzyny].

O ile z dotychczasowych danych wnioskować mogę to stan zajęcy w tym roku zdaje się być bardzo obfity. Z kuropatwami nie mogę sobie sprawy zdać, gdyż do niedawna wciąż w parach były widziane. Co do sarn, to tych jest bardzo znaczna ilość w lasach radłowskich, a szczególnie w rewirze Biadoliny, gdzie w miocie można ich naliczyć do 60 sztuk. Tego roku w maju znaleziono kilkanaście sztuk padniętych. Niestety zawsze znajdowano je tak późno, że były już w rozkładzie i nie można było skonstatować przyczyny. Karmę zadaje im się przez całą zimę bardzo obficie i to w najlepszym gatunku, koniczynę z drugiego pokosu, ponieważ ma najobficiej liści, które najłakomiej jedzą. Lisów tego roku mniej się pokazuje, ale też na każdym kroku są tępione jamnikami, jakoteż i strzelbą; na co tak leśniczowie jakoteż straż lasowa ma pozwolenie. Strzałowe za lisa wynosi 1 zł.

Karol Scherautz, leśniczy rewiru Ruda.

Podkamień w sierpniu.

(Zakupno kuropatw. — Bażanty. — Przypisek redakcyi.)

Do postawionego przezemnie wniosku na nadzwyczajnem walnem zgromadzeniu członków Towarzystwa Łowieckiego, w sprawie sprowadzenia kuropatw dla rozmnoży, ośmielam się jeszcze słów kilka dodać, które szanowna redakcya „*Łowca*“, raczy może w swoich łamach umieścić. Sądziłem zawsze, iż ten postawiony przezemnie wniosek, tak życzliwie przyjęty przez obecnych na zgromadzeniu członków i tak chętnie poparty przez Wydział towarzystwa łowieckiego, tyczyć się będzie nieco dalszej przyszłości, to jest sprowadzenia kuropatw zamówionych za granicą, na przyszłą wiosnę dopiero. — Sądzę, iż to byłby jedyny sposób dopięcia celu, ażeby przez zbiorową akcyę w znacznej części naszego kraju, ten ginący od pewnego czasu zwierzostan, znowu zaprowadzić. Sprowadzanie zaś kuropatw w łagodniejszym wychowanych klimacie, przed naszą ostrą zazwyczaj zimą, wątpię, ażeby do pożądanego doprowadzić mogło skutku. Ci nowi do nas wprowadzani przybysze — przybędą prawdopodobnie z ościennych naszych prowincyi i będą rodakami Luegera, Schönerera i podobnie nam życzliwych Germanów, z czego wnosić można, że już w swych sercach nie przyniosą z sobą zbyt wielkiego zasobu sympatyi dla swej nowej ojczyzny. Ten ich przymusowy: „*Drang nach Osten*“, już i tak zbyt ich nie uszczęśliwi; a cóż byłoby dopiero, gdyby na pierwsze powitanie spotkała ich nasza ostra, sroga, polska zima. Zadziwić by się nawet nie można, gdyby ich opanowało: „*Heimweh*“ i gdyby zatęsknili za krajem, w którym dziś patryotycznym śpiewem jest: „*Die Wacht am Rhein*“.

Przestraszające są w istocie cyfry, podawane w niemieckich czasopismach łowieckich, o tej ilości żywych kuropatw, które zakupują rozmaici semiccy baronowie, na owe rzezie, które w swoich dobrach co roku wyprawiają, często dla koronowanych głów nawet, a które polowaniem nazywają. — Czytałem w „*Waidmanie*“, że baron Hirsch na jedno polowanie w dobrach swoich w Węgrzech 10.000 kuropatw żywych z Czech, z Szląska, i z Morawy sprowadził. Czyż nasz kraj nie mógłby zbiorowemi siłami konkurencyę pewną rozpocząć i choćby z pewnemi ofiarami, to nieszczęsne, od semickiej broni haniebnie ginące ptactwo — do chowu u siebie zużytkować?!

Że ta nasza polska zima grożnie się na ten rok zapowiada, wypada nam wierzyć z przepowiedni naszych górskich znachorów, których spostrzeżenia badam od lat wielu i miałem sposobność się przekonać, że zazwyczaj bardzo trafne bywają. Zarówno mnie w tem przekonaniu utwierdzają nasi lotni wróżbici, którzy, jak doświadczenie uczy, często lepiej od Falba przyszłe atmosferyczne odgadują odmiany.

I tak bociany, w wielkiej ilości, odleciały już na południe przed 15. sierpnia; liczne stada czajek widziałem już gromadzące się do odlotu; — nurki: pernekozy bardzo wcześnie w tym roku opuściły nasze stawy. Łyski zbierają się już przedwcześnie w gromady, a i jaskółki pędzi już w dal duch emigracyjny.

Czyż wobec takich horoskopów mogłoby być wskazanem u nas sprowadzenie kuropatw przed wiosną? Sądziłbym więc, iż byłoby może wskazanem, by Wydział towarzystwa łowieckiego wcześnie porozumiawszy się z zagranicznemi firmami co do ceny, ilości, i sposobów przystawy żywych kuropatw na wiosnę — zechciał o tem zawiadomić delegatów, gdyż bez wątpienia cena ważną w obstalunkach odegra rolę. — Nie można zaprzeczyć, iż cena kuropatw sprzedawanych na wiosnę wyższą będzie, niżli w jesieni, ale na to nie powinni zwracać kupujący uwagi: bo przyszłość na wiosnę sprowadzonych ptaków, jest mniej więcej zapewnioną, gdy przeciwnie, sprowadzone w jesieni, srogości zimy uledzby musiały.

Delegaci obznajomieni z ceną i dalszymi warunkami odstawy, mogliby w ciągu zimy zachęcić hodowców w swoich powiatach, zebrać od nich potrzebne fundusze, utworzyć niejako statystyczny wykaz kuropatw, które mają być sprowadzane do całego kraju — i złożyć je Wydziałowi towarzystwa łowieckiego. W najbliższem kółku moich znajomych i sąsiadów udało mi się już zebrać zamówienia na kilkaset sztuk kuropatw na przyszłą wiosnę; nie wątpię, iż w każdym powiecie, nasi delegaci, znaleść potrafią chętnych hodowców, i namówią ich do tej wdzięcznej a niezbyt

*) Wydział gal. Tow. łowieckiego poczynił już w tej mierze odpowiednie kroki. (Przyp. redakcyi „Łowca“).

kosztownej próby; wtedy wątpić nie można, że ta akcya na większe rozmiary przedsięwzięta kiedyś korzystny plon wyda.

Odmienne są zupełnie warunki co do zaprowadzenia bażantów. Doświadczenie bowiem uczy, że najpewniej aklimatyzują się one, gdy są sprowadzane w jesieni. Fachowe pisma to jednogłośnie stwierdziły. Bażanty sprowadzone w jesieni, mniej się rozlatują, i przy stosunkowo pomyślnych warunkach lokalnych i przy racyonalnie podrzucalnej karmie, bardzo dobrze nasze ostre zimy wytrzymują.

Pobieżnie skreśliłem tylko tych słów kilka, w nadziei, że w tej sprawie odezwą się może w *„Łowcu“* poważne głosy, bardziej odemnie kompetentne, a których niebrak w naszym łowieckim świecie. — Na głębokiej wiedzy i na doświadczeniu oparte ich uwagi — byle się tylko w łamach „Łowca“ okazać chciały — byłyby z pewnością dla nas — i w tem dla krajowego łowiectwa rozpoczętem dziele — bardzo pożądaną i na przyszłość drogocenną wskazówką. *Leopold hr. Starzeński.*

(Wydział towarzystwa łowieckiego zamieszczając w *„Łowcu“* swoje wezwanie do delegatów, aby zajęli się zebraniem od członków towarzystwa ofert w sprawach zakupna kuropatw, również rozumiał, iż kuropatwy te dostawi członkom dopiero na wiosnę roku przyszłego. Wystosował zaś to wezwanie zaraz po zgromadzeniu dlatego, aby mieć wcześnie zamówienia i aby wiedząc ile kuropatw będzie trzeba zamówić, mógł wejść w układy z handlarzami lub hodowcami tej zwierzyny i uzyskać jak najniższe ceny. Dotychczas do Wydziału wpłynęło już kilka zamówień — wszystkie na wiosnę. Przyp. redakcyi *„Łowca“*.)

Kronika.

Sprawozdanie delegatów. Mimo kilkakrotnych odezw Wydziału gal. Tow. łowieckiego, sprawozdania od delegatów Tow. napływają bardzo skąpo. Dotychczas przysłało sprawozdanie zaledwie c z t e r e c h delegatów. Wydział gal. Tow. łowieckiego raz jeszcze ponawia swą prośbę i zwraca się do delegatów swych, aby raczyli wypełnić przesłane im formularze i nadesłali je redakcyi *Łowca*, która na ich podstawie będzie mogła nakreślić obraz stanu zwierzyny i polowań w kraju naszym. Obraz taki może wielce przyczynić się do podniesienia łowiectwa w naszym kraju przez wywołanie wymiany zdań między miłośnikami łowiectwa, przez podanie do ich wiadomości stanu zwierzyny w poszczególnych powiatach i dobrach i przez zestawienie w których okolicach jaka zwierzyna występuje liczniej, a w których mniej licznie itp. Ze względu przeto na interes tak ogólny, jakoteż i łowców, prosimy raz jeszcze pp. delegatów o nadsyłanie nam sprawozdań z okolic powierzonych ich pieczy.

170 kuropatw zabiło w jednym dniu d. 16 zm. 6 strzelców w majątku bar. Dyonizego Vay'a w Majorhaz w komitacie preszburskim. Należy dodać, że nie polowano w remizach, lecz na wolnem polu, na polach zasianych kukurudzą i kartoflami.

Międzynarodową wystawę psów wszystkich ras urządza w Augsburgu w dniach od 25 – 27 bm. augsburskie Towarzystwo dla podniesienia chowu psów.

Międzynarodowa wystawa psów wszystkich ras odbyła się w zeszłym miesiącu w Baden-Baden. Na wystawę nadesłano przeszło 200 psów.

Z Księstwa Poznańskiego donoszą nam, że kuropatw w tym roku tam bardzo wiele, tylko w okolicach dotkniętych klęską gradową jest ich mniej, wyniszczały bowiem, zwłaszcza młode, od gradu i deszczu. Polowanie na zające również zapowiada się dobrze, a żywione dawniej obawy, nie są uzasadnione.

Zemsta kłusowników W Mikuliczynie znikł gajowy lasów rządowych, Iwan Iwanków. Przypuszczają, że padł ofiarą zemsty okolicznych kłusowników, których tępił z wielką pilnością. Iwanków liczy 60 lat i ma sześcioro dzieci.

W dobrach Glöbl, należących do ks. Croy, kłusownicy zabili 26-letniego adjunkta leśnego Ludwiga Reisnera. Żandarmerya sprawców nie wyśledziła. Reisner był postrachem kłusowników i padł ofiarą ich zemsty.

Field trials. Zwyczajem dorocznym zarząd warszawskiego oddziału Towarzystwa racyonalnego polowania zorganizował konkurs dla psów myśliwskich. Konkurs ten odbył się dnia 28 zm. na polach dzierżawionych przez Towarzystwo za rogatkami belwederskiemi pod Warszawą. Konkurs tegoroczny był bardzo ciekawy z powodu licznego udziału w konkursie hodowców, jak również z tego powodu, że w konkursie występowały wyżły, nagrodzone już w r. b. na wystawach w Rosyi i za granicą.

Doświadczenia nad działaniem muzyki na dzikie zwierzęta przeprowadził Frank Collins Bakor w ogrodzie zoologicznym w Cincinnati. O godz. 6-ej wieczorem, w dwie godziny po karmieniu zwierząt, zaczęto grać na skrzypcach. Pantera przebudziła się ze snu i uważnie nadsłuchując, zbliżyła się do krat klatki, spoglądając ciekawie na grajka. Muzyka przechodzi w melodję skoczną, taneczną — pantera zaczyna nerwowo machać ogonem i strzydz uszami. Gdy muzyka znowu wróciła do tempa spokojnego, pantera uspokoiła się. Jaguar, na odgłos muzyki, w dzikich skokach kręcił się po klatce, a gdy grajek się oddalał, wysunął pazury z krat. Lampartom podobała się muzyka — słuchały uważnie i spokojnie. Lwica z trzema lwiątkami mruczała z zadowolenia, a małe ciekawie patrzyły na grajka. Z tygrysów bengalskich samiec okazał się nieczuły na melodyę, natomiast na samicę muzyka widoczny wpływ wywarła. Hyeny przy pierwszych tonach chowały się po kątach klatki, drżąc na całem ciele. Z całego szeregu doświadczeń eksperymentator wyprowadził wniosek, że wogóle samice dzikich zwierząt silniej odczuwają muzykę, niż samce.

Sępy w Indyach stanowią służbę sanitarną. W wielu miejscowościach Indyj są budowle, znane dobrze stadom sępów „wieże milczenia“, gdzie składają trupy ludzkie. W prezydenturze bombajskiej „wieża milczenia“ Kapppis Khaoo pomieścić może 237 trupów, wieża Banajee 200. W r. b., gdy z powodu grasowania dżumy oraz głodu liczba trupów znacznie się powiększyła, stróże „wież milczenia“ zauważyli, że i sępów przybyły nowe zastępy. Są to więc urzędnicy sanitarni, akuratnie spełniający swoje zadanie.

Łowy cesarskie w Bellye. Ogłoszono już urzędowy program łowów cesarskich, jakie się mają odbyć w dniach 16 do 17 bm. włącznie w Bellye, na Węgrzech, podczas pobytu cesarza niemieckiego.

Dnia 16 bm. przybędą obydwaj monarchowie w stroju myśliwskim koleją do Mohaczu o godzinie 2 m. 45 nad ranem, poczem z niewielką świtą myśliwską udadzą się parowcem w dół Dunaju. Cesarz niemiecki ze swoją świtą i arcyksięciem Fryderykiem, zamieszka w leśniczówce Karapáncsa, cesarz austryacki w leśniczówce Köriserdö, a jeneralny adjutant hr. Paar w leśniczówce Dökös. Natychmiast po przybyciu, wprost z parowca udadzą się obaj cesarze na polowanie, po którem będą na obiedzie u arcyksiężnej Izabeli w Köriserdö, poczem znowu pójdą do lasu.

W piątek 17 bm. cesarz austryacki polować będzie rano i wieczorem w rewirze Vörösmart, cesarz niemiecki zaś w rewirze Karapáncsa.

W sobotę 18 bm. rano cesarz austryacki polować będzie również w rewirze Vörösmart, a wieczorem w rewirze Dályok, poczem powróci do Budapesztu, cesarz niemiecki zaś rano i wieczorem polować będzie w rewirze Karapáncsa.

W niedzielę 19 bm. cesarz niemiecki uda się do tego samego rewiru na polowanie rano i nad wieczorem. W nocy wyjedzie do Budapesztu, gdzie stanie w poniedziałek 20 bm. około godziny 10. rano.

Łacina łowiecka.

Pana Prawdzickiego z Wymysłowa dziwna opowieść.

(Ciąg dalszy)

Wtedy to przypomniało mi się, że w torbie mojej został się jeszcze z niejakiego zapasu żywności, w który się zwykle zaopatruję, wychodząc na polowanie, kawałek sadła. Toż przywiązałem do dosyć długiego stryczka psu odjętego, który rozkręciwszy tym sposobem przynajmniej w czwórnasób przedłużyłem. Potem zaczaiłem się w sitowiu na brzegu, zarzuciłem sztuczną wędkę i uradowałem się serdecznie widząc, jak najbliższa kaczka na pół lecąc przypłynęła i pokuśne sadło połknęła. Za przykładem pierwszej kaczki poszły wszystkie inne, a że śliskie sadło niedające się strawić znów tyłem wychodziło, przeto połknęła je następna kaczka, po niej trzecia i tak dalej. Koniec końcem, sadło fortunnie odbyło podróż przez kaczki wsze i każdą z osobna, nie oderwawszy się od stryczka. A tak nadziały się nań jak perły na sznur. Potem przyciągnąłem je powoli do brzegu, okręciłem sobie sznur ze sześć razy około ramion i ciała i poszedłem do domu.

Gdy do domu jeszcze daleko było, tyle zaś kaczek nie mało mnie obciążyło, zacząłem prawie żałować, żem ich zbyt wiele nałowił. Wtedy to ulżyło mi osobliwe zdarzenie, które mnie początkowo w niemałe tarapaty wprawiło. Wszystkie bowiem dzikie kaczki żyły jeszcze, wyszedłszy z pierwszego przerażenia zaczęły skrzydłami bić, podleciały i uniosły mnie ze sobą w górę. W takim razie niejeden nie mógłby poradzić sobie, ale ja korzystałem z tej okoliczności, jak tylko mogłem i wiosłowałem po powietrzu połami surduta mego ku stronie, gdzie dom mój był. Kiedym się właśnie nad domem znajdował i na tem się zahaczało, aby bez uszkodzenia na dół się spuścić, ściskałem każdej kaczce łepek, przez co się pomału i łagodnie wprost kominem domu na kominek kuchenny spuściłem, na szczęście moje ogień się nie tlił. Przytomny kucharz z przestrachu na widok taki odskoczył ku drzwiom, żegnał siebie i mnie, i chciał mnie, jakby jakie licho, wodą święconą kropić.

Takie samo a przynajmniej podobne wydarzenie miałem raz ze sznurem kuropatw. Wyszedłem, aby strzelby spróbować, i cały zasób śrutu ze wszem wystrzelałem, kiedy naraz tam, gdziem się bynajmniej nie spodziewał, zerwały się jakby z pod nóg kuropatwy. Życząc sobie bardzo kilka lub kikanaście z nich jeszcze tegoż samego dnia na stole mieć, wpadłem na pomysł, którego Panowie na słowo moje w razie potrzeby użyć możecie. Skorom widział, gdzie kuropatwy zapadły, nabiłem spieszno strzelbę i zamiast śrutu stępel wetknąłem, który, ile się to w pośpiechu zrobić dało, u końca nieco zaostrzyłem. Potem dopiero skradam się do ptactwa, strzelam, jak tylko się zerwało, i doznaję przyjemności widząc, jak stępel w niejakiej odległości z siedmiu sztukami powoli spadał, dziwiącemi się może, że tak wcześnie na rożnie połączonemi zostały. — Jak powiadam, trzeba wiedzieć, jak sobie poradzić

Innego razu przeszedł mi przez drogę prześliczny, czarny lis. Byłoby to szkodą niepowetowaną przedziurawić kulą albo śrutem takie kosztowne futerko. Stał ćwik tuż przy drzewie. Natychmiast wyciągam kulę z rury, miasto niej wsadzam spory bretnal i strzelam i trafiam tak sztucznie, żem kitę lisa mocno do drzewa przygwoździł. Teraz zbliżam się wolno, pewien swojego, przerzynam mu mordę na krzyż i karbaczuję go po skórze tak długo, aż się z niej wymknął. Roskoszą i dziwem zarazem było na to patrzeć.

Przypadek i gwiazda szczęśliwa nieraz niejedno uchybienie naprawiły. To się niedługo po ostatniem wydarzeniu jak najdowodniej na mnie sprawdziło, kiedym raz w gąszczu spostrzegł, jak dzika maciora tuż za warchlakiem spieszyła. Kula moja chybiła celu, jednak warchlak poszłapał naprzód, maciora zaś stanęła, wcale z miejsca się nie ruszając, jak gdyby do ziemi przygwożdżoną była. Gdym zaczął badać przyczynę tej dziwnej nieruszystości, okazało się, że maciora, będąc ślepą, trzymała w pysku ogon warchlaka, który ją z przywiązania synowskiego wodził. Ponieważ kula środkiem między obojgiem przeleciała, przeto zerwała wodzę, której koniuszek maciora jeszcze w pysku żuła, a ponieważ przewodnik ślepuchy dalej nie prowadził, więc taż stanąć musiała. Schwyciłem zatem za pozostały koniec ogona warchlaka i na nim stare, opuszczone zwierzę bez trudu i oporu do domu zawiodłem.

Te dzikie maciory są wprawdzie srogiemi, ale odyńce są daleko sroższymi i groźniejszymi Z takim miałem raz rozprawę w lesie, gdym na nieszczęście nie był ni do zaczepki, ni do odporu przygotowanym. Zaledwo zdołałem jeszcze zemknąć poza drzewo, gdy już dzika bestya kłami z całej siły od siebie zajęła. Miasto we mnie jednak utkwiły kły tak głęboko w drzewie, że odyniec ani ich wyciągnąć, ani cięcia powtórzyć nie mógł. A tuś mój gościu! ja cię teraz przytrzymam — pomyślałem sobie — biorę lotem kamień, wbijam nim kły jeszcze głębiej i nituję je takim kształtem, że odyniec, choćby mu dyabeł dopomógł, nie mógłby się oderwać. A tak musiał poczekać, aż z pobliskiej wioszczyny taczki i powrozy sprowadziłem, aby go zdrowo i cało do domu zawieść, co się też jak najlepiej udało.

(C. d. n.)

Korespondencye redakcyi.

Wp. K. S. w Rudzie. Bardzo prosimy o korespondencye. Wszelkie daty, dotyczące zwierzostanów, przebiegu polowań są nam bardzo pożądane.

Do szanownych czytelników.

Zamykamy dzisiejszy numer „Łowca“ serdecznym apelem do naszych szanownych czytelników w sprawie, która mimo swojej całej niezaprzeczalnej prozaiczności, jest jednak tak bardzo żywotną, że od niej zależy rozwój tego jedynego na całym obszarze ziem polskich pisma, poświęconego sprawom łowieckim. Od reorganizacyi towarzystwa w marcu br. wydajemy już ósmy z rzędu numer, każdy z olbrzymim nakładem. Wprowadziliśmy dział illustracyjny, który ożywił pismo, ale też pociągnął za sobą znaczne koszta, pozyskaliśmy kilka świeżych a dzielnych sił redakcyjnych, wreszcie gdzie tego zachodzi potrzeba, nie wahamy się powiększać objętości poszczególnego numeru — nie podwyższając mimo to wysokości wkładki ani o jeden grosz. Niestety znaczna, bardzo znaczna część członków towarzystwa zalega z wkładkami, wyrządzając tem ogromną krzywdę normalnemu rozwojowi wydawnictwa. Ufni w to, iż dzielna drużyna łowiecka pragnie przecież równie jak cały Zarząd towarzystwa, jak najpomyślniejszego rozwoju pisma, apelujemy dziś do ogółu członków naszych serdecznie o wyrównanie niezapłaconych wkładek (5 zł. rocznie). Pojedynczo są to pozycye stosunkowo tak bardzo drobne — suma ich może utrudnić rozwój „Łowca“.

Redakcya.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca": Lwów, pl. Halicki 14. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego" we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.